



Zeszyty TŁUMACKIE



II KWARTAŁ 2003

ISSN: 1426-4129

Nr 2(30)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan - Wrocław



Tłumacz - Uroczystości 3 maja 1920, maszerują uczniowie gimnazjum

62 ROCZNICA POWSTANIA ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE



Bóg patrzy w moje serce. Widzi i zna
 moje intencje oraz zamiary, które
 są czyste i szlachetne. Jedynym
 moim celem jest wolna, sprawiedliwa
 i wielka Polska. Ku tej Polsce
 Was prowadzę i z Bożą pomocą
 doprowadzę.

Sikorski
 12-XII, 1947

„Bóg patrzy w moje serce. Widzi i zna moje intencje oraz zamiary, które są czyste i szlachetne. Jedynym moim celem jest wolna, sprawiedliwa i wielka Polska. Ku tej Polsce Was prowadzę i z Bożą pomocą doprowadzę”

Władysław Sikorski

Władysław Sikorski - General Broni
 Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych



Władysław Anders - General Dywizji
 Dowódca Armii Polskiej na Wschodzie



Michał Tokarzewski Karaszewicz - General Dywizji
 Dowódca 6 Dywizji Lwów

59 ROCZNICA BITWY O MONTE CASSINO

18 maja 1944 to chwalebna data zdobycia Monte Cassino przez siły polskiego oręża.

Od Redakcji.

Autorem książki „Byłem żołnierzem generała Andersa” (Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1991), jest Tadeusz M. Czerkawski urodzony 1919r. w Stanisławowie. Odznaczony za zasługi bojowe m. in. Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego *Virtuti Militari*, Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino i Londyńskim Krzyżem za Wojnę Obronną 1939. W lutym 1940r. został aresztowany podczas przekraczania linii demarkacyjnej pod Jarosławiem wraz z grupą kolegów pragnących przedostać się do organizowanej we Francji Armii Polskiej. Osadzony w więzieniach Przemysł-Dniepropietrowsk-Charków, a następnie wywieziony do łagrów w obwodzie archangielskim. Opisuje on tragiczne losy więźniów i łagierników których niechybną śmierć z głodu i chorób przerwał układ Sikorski-Majski w 1941r. Wraz z tysiącami obdartych, wycieńczonych rodaków przybył do Buzułuku i wstąpił do tworzącego się Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Wł. Andersa. Jego wspomnienia z tego okresu stanowią niezwykle szczery, bezpośredni zapis losów, charakterystyczny dla wielkiej rzeszy Polaków wywiezionych w głąb ZSRR. Autor w marcu 1942r.

wraz z 10 DP ewakuowany na Bliski Wschód i w Iraku ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii. Odbył kampanię włoską jako żołnierz 3. Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej, 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Swój udział w walce o Monte Cassino jako artylerzysta opisuje następująco:

Sybirski jeniec żył udęką
By na wolności, z krwi i dymu
Zwycięską światu podać ręką
Z Monte Cassino klucz do Rzymu ...

(Kazimierz Wierzyński; Biblia Polska)

W kwietniu 1944 roku stanęliśmy na pozycjach pod Monte Cassino aby się wypełniły słowa rozkazu Naczelnego Wodza: „Pójdziemy szlakiem Legionów Dąbrowskiego!”. Po tylu latach oczekiwania, męki, cierpienia i upodlenia, po latach nędzy okrutnej dążenia nasze miały się spełnić. Po nieudanych, choć krwawych i heroicznym uderzeniach Francuzów, Marokańczyków, synów Algierii i Tunezji, Hindusów, Anglików i Szkotów, Irlandczyków i Nowozelandczyków, których kości bieleją jeszcze w ruinach miasta i na wzgórzach 593 i 563, Widma Gardzieli, Colle San Angelo i Monte Castellone, Pizzo Corno i Głowie Węża, na kompleks wzgórz zwanych Monte Cassino uderzy z kolei żołnierz - tułacz, który od Września broni z rąk nie wypuścił; żołnierz idący szlakiem pradziadków co na rabatach nosili wyhaftowane hasło: *Gli uomini liberi - sono fratelli* - „Ludzie wolni są braćmi!”. Na te wzgórza, przeklęte w męce konania przez naszych poprzedników, uderzy żołnierz wstawiony walkami we Wrześniu w fiordach norweskich, kampanią francuską, uporczywą obroną pustynnej twierdzy w Tobruku i brauwrowym szturmem pod Ain-el-Ghazalą; pójdą byli więźniowie sybirskich łagrów dochodiagi, wysiedleńcy z Kazachstanu i archangielskiej oblasti, sieroty uratowane przez wojsko i szkolone w Korpusie Kadetów w Palestynie. Pójdziemy, my żołnierze 2 Korpusu Polskiego, świetnie wyszkoleni i uzbrojeni, aby podliczać i wyrównywać nasze rachunki.

Z misternej siatki cyfr planu odczytujemy, że ogień artylerii w fazie przygotowawczej trwać będzie 2 godziny, po czym do szturmów ruszy piechota. Tak, do szturmów! Teraz na wzgórzu Monte Calvario (593) krwawi w obronie 3 Batalion Strzelców Karpackich. Od 24 kwietnia, kiedy przejął stanowiska od żołnierzy brytyjskich, leży w odległości rzutu granatem od stanowisk niemieckich. Niemcy



Autor książki M. Czerkawski

są doskonale ukryci w pobudowanych skalnych składkach, w pieczarach i grotach, mają wstrzelane ognie artylerii, moździerzy i broni maszynowej. Strzelcy wybożowi czyhają na najmniejszy ruch po naszej stronie i ... nie chybują. A nasi leżą za kopczykami usypanymi z kamieni, nie uprzątniętych ciał poległych żołnierzy alianckich i niemieckich z poprzednich natarć. Fetor, szczury rozwłóczące tę ludzką padlinę, cuchnąca ponad wszelkie pojęcie, wpływa deprymująco na żołnierzy, nie pozwala jeść i ani na chwilę wypocząć. Tym bardziej, że ogień niemiecki nie ustaje. Trwają, choć ponoszą ofiary w rannych i zabitych.

Z planu ognia dowiadujemy się, że działanie nazywać się będzie „Honker”, co w języku angielskim oznacza krzyk dzikich gęsi powracających z wyroju; później tę nazwę zmieniono na „Diadem”. Dowiadujemy się wreszcie, że major Jerzy Janasiewicz wywalczył w dowództwie pułku zaszczyt reprezentowania naszego oddziału przy nacierającej piechocie. Już została ustalona ekipa obserwatorów wysuniętych. Dowodzić będzie Janasiewicz, pójdą z nim porucznik Eugeniusz Kupiec, dowódca trzeciej baterii, kapral podchorąży Jan Figiel - tobrucczycy - obaj jako wysunięci obserwatorzy przy kompaniach piechurów karpackich. Przy ich boku wyruszą na górę kanonierzy Gustaw Herling-Grudziński, Witold Girstun i Stefan Kazimierzak - radioci, bombardier Skowronek, Henio Motyl, uczestnik kampanii francuskiej, uciekinier z obozu jeńców, który dołączył do nas na ziemi włoskiej, Dzimidzik, doskonały żołnierz z 3 baterii, kapral Strzeczkowski i wielu innych - sami wybrańcy, wypróbowani żołnierze. Wyjadą 10 maja wieczorem, aby „ożenić się z piechotą”.

Dzień 11 maja 1944 roku wstał tak samo piękny i słoneczny jak poprzednie. Tak samo kłaskały słowiki i kwitły czerwone maki. Około południa odbyła się odprawa całej baterii. Porucznik Józef Olszewski oznajmił nam, że działania „Diadem” rozpoczynają się dzisiaj! Godzina „H” to godzina 23.00! O tej porze pierwsze pociski artylerii mają wylądować na podanych celach. Ruszamy ramię w ramię z aliantami. Na naszym lewym skrzydle nacierać będzie na miasto i wdierać się w dolinę rzeki Liri 13 Kor-

pus Brytyjski. Dalej w górach Auruncji stutysięczny Korpus Wolnych Francuzów: Marokańczycy, Algierczycy, Tunezyjczycy oraz Francuzi pod generałem Alfonsem Juin. Nad Morzem Tyrreńskim uderzają nazajutrz dywizje 5 Armii Amerykańskiej gen Clarka, któremu podlega również korpus francuski. Nasz 2. Korpus Polski uderza następująco: 3 Dywizja Strzelców Karpaccich na 593 - Hannibala, 569 - Hogartha i przedłuża na klasztor, inny batalion prze na Gardziel prowadzącą do Masseria Almanetta. Wspierać go będą czołgi 4 Pułku Pancernego „Skorpiony”. 5 Kresowa Dywizja Piechoty uderzy na Widmo, a następnie przedłuży na San Angelo i 575.

W 16 batalionie służy sierżant podchorąży Henryk Januszkiewicz, mój kolega i przyjaciel. Dowódcą natarcia tej dywizji jest jeszcze jeden mój znajomy z Przemyśla i Dniepropietrowska - płk. dypl. Klemens Rudnicki, były dowódca 9 Pułku Ułanów Małopolskich w Trembowli. Jego pułk walczył w Armii „Poznań” nad Bzurą, w Grabinie, Sierakowie i Kampinosie, w końcu w obronie Warszawy, gdzie poniósł 40% strat. 17 września doliczono się 33 podoficerów i 300 ulanów. Sztandar pułku odznaczony został Srebrnym Krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militarii. Rudnickiego wy dostał z niewoli lekarz pułkowy dr Alfred Paczkowski, późniejszy legendarny cichociemny „Wania”. Pan Klemens został w styczniu 1940 roku mianowany zastępcą Komendanta ZWZ na terenach pod okupacją sowiecką. Jego przełożonym był generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski, który teraz przebywał na dowodczym stanowisku w Egipcie. Naszym korpusem dowodzi były dowódca Nowogródzkiej Brygady Kawalerii, późniejszy dowódca Grupy operacyjnej Kawalerii - gen. Wł. Anders. Jego zastępcą jest generał brygady Zygmunt Szyszko - Bohusz, o którym weteranie walk pod Narwikiem śpiewali:

Hej ty, baco, w bereciku piknym, pikną masz ciupazeckę
Dobryś baco i general ślicny, coś brygadę dobrą miał
Pod Narwikiem Niemców prol...

Szef ogniomistrz Florian Draczyński odczytuje rozkazy bojowe dowódcy 8 Armii, witającego nas w swych szeregach, dowódcy drugiego korpusu, który ciepło zagrzewa nas do walki zemsty za Warszawę oraz gen. Duchy. Po odprawie sprawdzamy raz jeszcze z Nejmanem ustawienie baterii na dozór, wpisujemy dokładne czasy do planu ogni. Oficer ogniowy porucznik Teodor Sołtyśzewski obchodzi działony i sprawdza ich bojową gotowość.

Obok dział piętzą się sterty pocisków i ładunków; wyczyszczone i pociągnięte oliwą lśnią w słońcu mosiądze lusek. Podcięte uprzednio drzewa oliwne, przesłaniające pole ostrzału gotowe do zwalenia. Bańki z wodą do moczenia szmat, którymi w krótkich przerwach ogniowych kanonierzy będą okładać rozpalone lufy. Obsługi dział gospodarskim okiem oceniają stanowiska, poprawiają tu i ówdzie siatki kamuflażowe i umocnienia działobitni. Wszystko zostaje zapięte na ostatni guzik. Należy pomyśleć o sobie. Zastanawiające - bo przecież nie było rozkazu - każdy myje się, goli, czyści, przebiera w czysty *battle - dress*. Jak na bal, a nie na ciężkie starcie. Czy to może nasza sarmacka fantazja? Wszyscy są serdeczni uczynni i spokojni. Ale to pozorny spokój. Każdego przenika jedna myśl - kogo ubędzie w tej walce na śmierć i życie? Coraz więcej mówimy o piechocie, na której wszak największy spoczywa ciężar - zdobycie tych przeklętych

wzgórz w ogniu broni nieprzyjaciela.

Sołtyśzewski daje rozkaz zwalenia podciętych drzew. Sprawdzamy w każdym działonie pole ostrzału. Tu i ówdzie należy jeszcze odrąbać gałęzie. Przychodzi nasz kapelan o. Gerard Waculik z fioletową stulą na *Battle - dressie*. Obchodzi z uśmiechem baterię. Krótka zbiórka i wspólna modlitwa. Kapelan udziela nam wszystkim przedbitewnej absencji *in articulo mortis*. No, więc tak! Jesteśmy już gotowi do walki i na śmierć. Mrok nabiera koloru sepii, ciętej nagłymi iskrami świetlików, których tu tysiące.

Małe światełka oświetlają ściany schronu. Położony jest między drugim i trzecim działem i wbudowany skarpe. Miejsca w nim niewiele - tylko na dwie osoby, stół topograficzny i środki łączności. Centrala strzelnicza dywizjonu podaje telefonicznie dokładny czas. Jest godzina 22.45 - czwartek. Obliczam z tablic czas dolotu pocisków i podaję go oficerowi ogniowemu. Sołtyśzewski zdejmuję mikrotelefon:

- Bateria do dział!...

Przez podwieszoną płachtę słycać czterokrotny odzew działonowych:

- Działon do dział!...

Dyktuję ogniowemu komendy, a on przekazuje je działonom. W tej chwili celownicowie, siedzący na siodełkach, nastawiają kątomierze, zgrywają poziomnice i bębny celownika. Amunicyjni podają pociski i ładunki. Słycać metaliczny odgłos stempli i dźwięk ryglowanych zamków. Załadowano pierwsze cztery pociski. Na każdym z nich napis kredą: Za wolność! Za Polskę! Za Warszawę! Za poniewierkę!

Nowa komenda Sołtyśzewskiego:

- Bateria, meldować gotowość!

- Pierwszy gotów! Drugi gotów! Trzeci ..., czwarty... - meldują po kolei działonowi.

Zgłaszam w dywizjonie gotowość baterii. Patrzymy na zegarki - jeszcze dwie minuty, jeszcze jedna. Żegnamy się znakiem krzyża. Sołtyśzewski mówi:

- Chłopczy! W imię Boże - zaczynamy! Bateria salwami! Na moją komendę - uwaga, pal!

Jezus Maryja! Pod rozpiętą przez noc kopułą, wspartą jak na masztach na Monte Cairo, Monte Castellone, Pizzo Como, San Angelo, Monte Calvario, Monte Trocchio i Monte Maio rozświetliła się ciemność granatowa. Mrok ustąpił światłu tysięcy wystrzałów, krwawym kwiatom wybuchów. Za dwie godziny na tę arenę wejdą bojownicy przepojeni chęcią odwetu, mający w pogardzie śmierć i rany.

Ave bellum - morituri te salutant! Huk począł narastać. Odbijany od wzgórz i gór złał się w jeden nieprzerwany grzmot. W ogniu półtora tysiąca dział. 2 Korpus Polski rozpoczął marsz ku wolnej niepodległej i suwerennej ojczyźnie!

Podmuch zakolysał jarem i spuścił brezentową płachtę na wejście schronu. Z pułapu posypały się ziemia i drobne kamienie. Padają ciągle nowe komendy ogniowe. Furia artylerii trwa. Każde dział oddaje w zależności od planu od 3 do 5 strzałów na minutę. Masa kipiącego żelaza zakłętą przez Polskich kanonierów w narzędzie zemsty zwała się kilka tysięcy jardów dalej na stanowiska spadochroniarzy, grenadierów i strzelców alpejskich; najlepszych doborowych żołnierzy niemieckich oraz na

stanowiska moździerzy, bunkry, pola minowe, stanowiska artylerii i punkty dowódcze. Masakruje batalion nieprzyjaciela, pnący się na stoku San Angelo. Potem po bitwie znajdziemy kilkaset grobów w Santa Lucia z tą właśnie datą. Czas już się nie dłuży. Obsługi zwijają się w ukropie. Więcej Ognia! Celniej! Dokładniej! Celowniczo i pedantycznie zgrywają przyrządy, aby ani jeden pocisk się nie zmarnował. Niech wiedzą piechurzy karpaccy i kresowi, że ze wszystkich sił chcemy wyrąbać im drogę do wrażliwych stanowisk.

Mija północ 15 minut przerwy dla baterii. Podwieszam płachtę; wychodzę ze schronu. Co za widok! Wokół morze płomieni. Strzelają baterie dywizjony i pułki. Gdzieś koło Monte Trocchio strzela pelotka - pięknie to wygląda, co piąty pocisk świecący. Jak by ktoś na linię strzału nanizal czerwone paciorki, gasnące w oddali. Od czasu do czasu przez ten nieprzytomny huk przebija szczególnie silny grzmot. Toczy się podniebnie ni to bulgotem, ni to pojękiwaniem. To strzela najcięższe działo burzące - kaliber 270 mm, 45 kanonierów obsługi. Działobateria! Widziałem je z bliska przed bitwą, ustawione przy typowym kamiennym domku. Po pierwszym strzale chałupa się „rozkleiła” od podmuchu. Ale i Niemcy nie śpią. Obserwatorzy z Montę Cairo i klasztoru przeorują pociskami dolinę. Słychać suche trzaski. Widać gołym okiem rozkwitające krzaki wybuchów. Taka ich masa, że nie sposób ich zliczyć.

Działony okrywają namoczonymi w wodzie szmatami rozpalone lufy. Bucha para. W trzecim działonie Jarek Salmonowicz podnosi bańkę z wodą i wlewa ją do uniesionej lufy. Z komory naboju wylatuje niemal ukrop i parzy nogę ładowniczego Pernala. Antek Pernal syczy z bólu, podkasuje nogawkę i zakłada opatrunek na oparzelinę. Zostaje przy dziale na stanowisku. Znowu pada komenda:

- Bateria do dział!

Stoję koło mojego dawnego działonu. Co za zgranie obsługi! Ludzie to czy roboty?! Tylko po oczach błyskających spod hełmów, po ruchach dopracowanych, czujnych i szybkich widać, że to nie maszyny. Powietrze przesycone jest prochem.

Dolina wre ciągle ogniem. Przychodzą pierwsze meldunki. I wreszcie ten najradośniejszy, przekazany przez Jasia Figla:

- Hannibal umarł!

Tak! Cota 593, zdradliwa najeżona bunkrami i polami minowymi, zabezpieczona wmontowanymi miotaczami płomieni i zwojami koncertyny padła w walce. To znaczy, że karpaccy piechurzy prą na przód na nierozpoznane wzgórze 569, urywające się pionową ścianą, w której znajdują się pieczary i grotty mogące pomieścić kilkudziesięciu ludzi. Stamtąd już bliżej do Massa Albanetta i ruin klasztoru. Później przychodzą meldunki niejasne i sprzeczne, pogmatwane i irytujące. Podrywa nas komenda z dywizjonu: „Wykonać natychmiast >>Karpaty<<!” Boże! Przecież to ogień zaporowy! Niemieckie przeciwnatarcie!

Obsługi zwijają się koło dział jak oszalałe. Jar grzmi wystrzałami i błyskami oślepiającego ognia. Największe natężenie - siedmiu strażaków na działominutę! Ogień trwa pięć minut. 24 działa wypluwają w ciągu tych kilku chwil około tysiąca pocisków. Na nieduży skrawek ziemi. Po

drutach i eterem płyną meldunki. Rozgorzała bardzo ostra bitwa. Niemcy stawiają twardy opór. Czas płynie szybko. Sześć razy podrywały baterię komendy nakazujące wykonanie „Karpat”. Sześć razy kontratakował nieprzyjaciel - zaprawione w bojach na Krecie i pod Smoleńskiem kompanie spadochroniarzy. Sześć razy odparto te wściekle i zażarte ataki. Następnego nie było już kim odpierać. Piechota masakrowana przez artylerię niemiecką, przez moździerze i nebelwerfery, zarzucona granatami, rozstrzeliwana z broni maszynowej i przez strzelców wyborowych ze wszystkich stron: z klasztoru, ze wzgórza 475, z Gardzieli, z Albanetty i wzgórza 575, została wybita. Na wzgórzach 569 i 593 pozostały tylko mizerne resztki kompani, zabici i ranni, którzy sami nie mogli zejść na punkty opatrunkowe. Polska krew mieszała się z Niemiecką. Nikłe resztki ocalałych z tej rzezi piechurów wycofały się na podstawy wyjściowe bez dowódców, którzy polegli lub zostali ranni, bez łączności, zniszczonej nawalą ognia, bez czołgów, które wyleciały na minach, bądź zostały zniszczone ogniem pancerfaustów. Piechota kresowa w takim samym stanie musiała wycofać się z Widma. Nie lepiej powiodło się XIII korpusowi brytyjskiemu, który poniósł ciężkie straty na przeprawie, nie wdarł się do miasta i w dolinę rzeki Lirii.

Niektóre odcięte pozbawione łączności oddziały trwały jeszcze w walce, kryjąc się w chaszczach na stoku 593, opadającym w stronę Gardzieli aż do otrzymania rozkazu o wycofaniu się. Porucznik Edward Maślanka z kilkunastoma strzelcami dotrwał do południa 13 maja. Schodziły kilkunastoosobowe grupy wycieńczone, nieudolne, wykrwawione, niosąc rannych, z zaciętością w podkrążonych oczach.

Koło południa ustał ostatecznie nasz ogień. W schronie było ciemno od dymu. Wyszedłem aby zaczerpnąć powietrza. Ostatnie meldunki były hiobowe. Martwię się o Heńka Januszkiewicza z 16 batalionu. Podskoczyli do mnie chłopcy z działonów.

- Jak tam, panie podchorąży?

Dławiąc się z żalu i wściekłości, powiedziałem im, że zostaliśmy odparci, atak się załamał, są ciężkie straty... Droga obok stanowisk wolno sunęły sanitarne jeepy. Staliśmy, patrząc bez słowa na poblądle, zaszokowane twarze rannych, Na krew przesiąkającą przez białe bandażę. Lżej ranni uśmiechali się do nas: „Brawo artyleria - daliście im bobu! Nie martwcie się, jeszcze im się dobierzemy do skóry!” Inne jeepy wiozły na noszach zawinięte w koce ciała poległych. Stała nasza żołnierska wiara jak szpaler żałobny z zaciśniętymi pięściami i zaciśniętym sercem. Gniew wzbierał w piersiach i rodził strasliwą chęć zemsty za te ciała młode, które musieliśmy oddać ziemi włoskiej. Albercio Sinicki wycierał kulkami ślzy, a wreszcie wyciągnął zaciśniętą w pięść rękę w stronę przesłoniętego dymami klasztoru i pogroził mu milcząco. W przeciwną stronę sunęły na pełnym gazie łaziki wiozące amunicję i żywność - aby wojna trwała dalej, aby móc powtórnie dopaść wroga w jego kryjówkach i bić, i bić z całej siły, aż do końca, aż do zwycięstwa.

Dni zaczynały się znowu wlec powoli. Przyszła niedziela. Strzelamy co prawda ale już bez tego natężenia. Pracują sztaby, analizują przeprowadzone akcje, wyciągają wnioski, montują nowe natarcie. Na rozkaz dowódcy 8 Armii Brytyjskiej akcja zaczepna zostaje wstrzymana

aż do czasu wyjścia XIII korpusu na drugi brzeg rzeki. Przyjechał nasz kapelan ojciec Waculik. Między trzecią a czwartą działobitnią, ponad jarem, na pustych skrzynkach po amunicji, rozkłada na tej zaimprovizowanej mense obrus. Msza święta dla naszego dywizjonu. Zbieramy się grupkami - żołnierze baterii dowodzenia i obu ogniowych baterii. Przy działach dyżurują tylko zamkowi i celowniczy. Nastrój skupienia i powagi, zadumy i smutku. Kiedy kapelan unosi w górę Hostię, symbol ciała Ukrzyżowanego, z głośników rozlega się rozkaz: „Dywizjon do dział!” Podrywamy się z klęczek i biegniemy do działobitni. Za chwilę padają komendy ogniowe, jar rozbrzmiewa barytonem armato-haubic. Powietrze pachnie prochem i wznieconym podmuchami kurzem. Kapelan stoi spokojnie ze wzniesionym kielichem. Kończy nabożeństwo, obracając się w stronę naszych stanowisk i wypowiada: *I te Missa est*. W tej scenerii, w tych pełnych tragizmu dniach brzmi to jak by mówił: „Czyńcie dalej swoją powinność, Wszechmogący wysłucha waszych modłów!”

Ranek 18 maja. Siódmy dzień bitwy. Meldunki są sprzeczne. Drogą suną ciągle nowe sanitarki. Kiedy tak stoimy nad tą Drogą Krzyżową żołnierza polskiego mijają nas dwa jeepy. Na jednym - jadącym stamtąd - dwa owinięte kocami truchła ludzkie. Na drugim - jadącym w górę - flaga narodowa z długim drzewcem. Walki dogasają. Wiatr rozpędza dymy i opary, ukazujące jeszcze bardziej postrzępione mury klasztorów. Obserwujemy przez lornetkę te gruzy. Widać wyraźnie żołnierskie postacie. Wreszcie zwolna na wietrze zaczyna się rozwijać ukochana ponad wszystko biało-czerwona! Wygląda na tym straszliwym pobojuwisku jak skrwawiony bandaż.

Zwycięstwo! Droga na Rzym otwarta! A stamtąd już bliżej ojczyzny!!!

(...) Bitwa pochłonęła prawie 900 istnień żołnierskich z pod znaku Orła Białego, a prawie 3500 żołnierzy zostało rannych. 2 Korpus zgodnie z przewidywaniami sztabu poniósł 10% strat. W 1388 lat po zwycięstwie Belizariusza generał Anders jako drugi w historii, idąc z wojskami z południa przełamał te piekielne linie obronne nowoczesnych Hunów. Nie na darmo jeden z angielskich generałów oświadczył, że jeśli uda się Polakom zdobyć ten kompleks wzgórz to na widok każdego Polaka do końca życia będzie uchylał czapki. Ze szczególną radością przyjęli-



generał Anders z dowództwem schodzi z ruin klasztoru

śmy wiadomość, że na ulicach naszej umęczonej ale niezwyciężonej stolicy, ukazały się na murach napisy: - Monte Cassino.

W Dolinie Śmierci u stóp klasztoru, na stoku Hannibala w 1093 mogiłach spoczywają żołnierze polscy polegli od lutego do końca bitwy. Wokół miasta jest prawie 50 000 grobów żołnierzy alianckich, którzy oddali swe życie w tej po Stalingradzie największej i najkrwawszej batalii II wojny światowej. Taka była cena zwycięstwa i otwarcia drogi na Rzym.

Wspomnienie żołnierskie z ZSRR i Iraku 1941 - 1943

Do naszej redakcji dotarło oprawione ksero książki p.t. „Dywizja Lwów” która dzisiaj jest dokumentem historycznym z wojennych przeżyć Kresowiaków.

Książka wydana w Jerozolimie, nakładem Funduszu Wydawniczego Historii 6 Dywizji Lwów z odręcznym dopiskiem: „Odbito w ilości 2350 egzemplarzy na egipskim papierze kredowym w Drukarni OO Franciszkanów w Jerozolimie. Tekst składali ręcznie zecerzy arabscy nie znający języka polskiego Avot Khader i Moussa Houry”.

Książkę tą w strzępach oferował jakiś człowiek na targu staroci w Gdańsku.

Nasza Tłumaczka J. Białkowska-Pactwa na koszt własny całość skserowała i opравиła. Dzięki czemu dowiadujemy się z pierwszej strony, że: „Oddajemy Czytelnikom tę księgę wspomnień żołnierskich z życia 6 Dywizji Lwów od czasu jej powstania na terenie ZSRR w ostatnich dniach sierpnia 1941r. - aż do chwili jej rozwiązania w Iraku w dniu 11 marca 1943r.

Jest to praca zbiorowa. Wszystkie zamieszczone w tej księdze artykuły, utwory literackie, poetyckie, muzyczne i graficzne są owocami twórczości żołnierskiej.

Wszystkim tym, którzy przyczynili się do wydania tej pracy - składamy serdeczne podziękowanie.

Komitet Redakcyjny Historii 6 Dywizji Lwów.”

Pod tym podpisem nie kryją się żadne nazwiska. Ewidentnym jest, że musiał być redaktor naczelny, który te wspomnienia żołnierskie (też zresztą bezimienne) zbierał i w całość ułożył. Nie ma też podanej daty wydania książki (napewno było to już po wojnie). Nie sądzimy, że jest to zwykłe przeoczenie. Raczej wygląda na konspiracyjną dbałość, ostrożność przed odpowiedzialnością za

ujawnienie prawdy o śmierci i straszliwych męczarniach zesłanych i więzionych w łagrach ZSRR Polaków.

Tylko ośmiostronicowy wstęp, (patriotyczny i bezstronny) swoim nazwiskiem zaopatrzył generał dywizji Michał Tokarzewski-Karaszewicz.

Redakcja

Dowództwo 6 Dywizji Piechoty
L.dz. 1893/42

Szachrziabs, dnia 2 maja 1942r.

Wniosek o nadanie 6 D.P.
miana "Dywizji Lwów".-

Żołnierze 6 Dywizji Piechoty w swojej ciężkiej przeszłości wykazali bezkompromisowość, hart ducha i nieugiętą chęć dalszej walki. W celu kultywowania oraz unacznienia symbolicznego tych zalet żołnierskich, proszę Pana Generała o nadanie 6 Dywizji Piechoty miana - "Dywizji Lwów".

Dowódca Polskich Sił Zbrojnych
w Z.S.R.R.

J a n g i - J u l

Dowódca 6 Dywizji Piechoty

Michał Tokarzewski-Karaszewicz
Tokarzewski-Karaszewicz
gen.bryg.

MARSZ 6 DYWIZJI LWÓW

Słowa Kpt. A. BORSKI

Muz. płot. Z. CZECHOWSKI



Powstań, na - ro-dzie, zemsta nas woła.



Już przyszła po-ra rozrachunku czas. Z kajdan nie-wo-li,



z śniegów Sy - bi-ru ojczyzna droga wzywa nas. Łącz się w oddziały



pułki, dywizje, do lo tu gotów orzeł biały ptak Lwy rozjuszone



go-to we do bo-ju, by do ojczyzny krwią wytrzeć szlak.



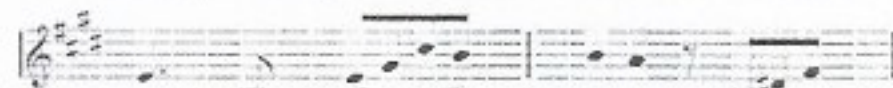
Dywizjo Lwów do góry wznies sztandary. Jak niebios grom, niech



zabrzmi twoja pios! Idziemy już, gdzie Lwów nasz gród pra-



stary, do naszych żon, do rodzin i do chat. Brytyjskie



Lwy nam Lwom swój miecz podały, by z gwałtu,



nędzy oswobodzić świat. Dziś już o zwycięstwie naszym dobrze



wiemy. Przeszedł bezpowrotnie czas koszmarnych snów.



Jeszcze Polska nie zginęła — a z nią dzielny



Lwów, drogi Lwów.



„Tango armatnie”

Wyjątek z książki „Byłem żołnierzem generała Andersa” Tadeusza M. Czerkawskiego (Warszawa 1991) przedstawiający sylwetkę polskiego Żyda, sierżanta w Armii Polskiej.

Redakcja

Postać Julka Huttnera była bardzo barwna. Ten polski Żyd mieszkał do 1935 roku w Jarosławiu, gdzie otrzymał świadectwo dojrzałości w miejscowym gimnazjum. Na fali wyjazdów organizowanych przez syjonistów wyemigrował do Palestyny. Ale długo nie zagrzał tam miejsca. Nie chciał iść do kibucu. Był wszechstronnie utalentowanym muzykiem. Znalazł się w Kabulu, gdzie koncertował na dworze króla Ammanulacha. Potem wraz z zespołem „Jolies Boys” grał na dworze szachinszacha w Teheranie. Kiedy w 1940 roku dotarła doń wiadomość o organizowaniu w Syrii w Homs Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, porzucił dostatnie życie i autostopem przejechał całą Persję, Irak i trafił do pułku artylerii karpackiej. Walczył w Tobruku i pod Bardią, a jednocześnie koncertował. Grał przed mikrofonami kairskiego radia i na dworze Faruka. Był bez wątplenia polskim patriotą opowiadali w Quastinie w 1942 roku Jasio Figiel, Otton Lintner i inni tobrucczycy historię o Julku, w którą długo nie chciałem uwierzyć.

W którymś miesiącu walk w Tobruku Julek usiadł wieczorem przed schronem w czasie godzinnej dżentelmeńskiej przerwy w działaniach bojowych i począł grać na akordeonie. A grał bestia tak, że się w człowieku wątpia z zachwytu przewracały i ślozy same napływały do oczu. Nieprzyjacielskie pozycje były niedaleko. Obsadzali je Włosi, mający apetyt na zdobycie twierdzy, której w żaden sposób ugryźć nie mogli, bo dostawali zaraz ciągi od Polonusów. Julek grał neapolitańskie canzony, przywołując wizję skapanego w potokach słońca Capri, raj z zakochanych w Sorrento, wąskich viale w Neapolu. Na to Julkowe granie cisza zapadła we włoskich ziemiankach, po czym zaczęły się wychylać głowy żołnierzy, którzy dojrzeć chcieli grajka. A muzyka płynęła coraz bardziej gorąca, upalna, dysząca namiętnością jak neapolitańskie noce, cudna jak Grotta d' Azzuro, świeża jak ranki nadmorskie... Zrazu cicho, później coraz głośniejsze podchwytywali Włosi melodię i tęsknymi głosy wtórowali temu pustynnemu graniu: Torna Surriente...

Akordeon pod sprawnymi palcami Julka zawodził, łkał, cierpiał, miłość wyznawał i śmiał się... Opętani melodią, jak w hipnotycznym śnie, Włosi opuszczali schrony i przysuwali się coraz bliżej polskich stanowisk. Zapomnieli, że godzinna przerwa miała się ku końcowi. Trwałaby ta idylla całą noc... Nagle poprzez takty śpiewu przebiły się strzały broni maszynowej, zatrzęsły ziemią wybuchy granatów, wysoko w ciemne niebo wzbily się z sykiem rakiety. Z przedpola wracał nasz patrol zagarnawszy rozspiewanych Włochów.

Do dnia dzisiejszego nie wiadomo, czy Julek grał na wabia, czy też może piechota wykorzystwała jego granie dla zdobycia języka.

Ta opowieść tak mnie zaintrygowała, że postanowiłem jak najszybciej poznać Huttnera, jako że ludzi i rze-

czy z natury swej jestem ciekawy. Okazja zdarzyła się szybko, bo służyliśmy w jednym pułku, choć w innych dywizjonach. W skwarne południe sierpniowe obsiedliśmy stoliki w obozowej kantine. Palestyński upał odbierał chęć do rozmowy, toteż ograniczała się ona do rzuconych od czasu do czasu monosylab. W pewnym momencie Romek Erenfrid wskazał dwudziestokilkuletniego kaprala podchorążego z charakterystycznym semickim nosem. Nieogolony, zaniedbany, w pomiętym mundurze sprawiał nie najlepsze wrażenie. Był to Huttner.

- Jak tam twoje kompozycje, Julku?

- Nic mi nie wychodzi, ten upał człowieka całkiem wyjął...

Gadaliśmy o tym i owym. Julek dowiedziawszy się, że jesteśmy „prawosławnymi” zapytał:

- Melodii toście się chyba nasłuchali co niemiara?!

- To prawda! To bardzo muzykalne narody!

- To zanuć coś.

- Mnie osobiście bardzo zapadła w pamięć melodia, którą śpiewała mi w wagonie jedna dziewczyna, pamiętam tylko jednak kilka słów refrenu.

- No, to proszę...

- *Nie uchodi, pobud' sa mnoj jeszcze minutu...* - zacząłem. Podchorąży słuchał skupiony i milczący. Wysączył resztę „latruna”, wziął mnie za rękę i pociągnął do pianina. Przebiegł cienkopalcymi rękoma klawiaturę.

- Śpiewaj, śpiewaj od początku! - rzucił rozkazująco. Próbował delikatnie grać tę melodię, przegrywał takty, poprawiał mnie, sykając z pasji, kiedy fałszowałem. Trwało to chyba godzinę, a może dłużej. Towarzystwo od stolika się rozeszło. Kantine pustoszała. Nagle Julek porwał się od pianina i bez słowa wybiegł. Po kilku dniach dał mi słowa nowej piosenki żołnierskiej. Pod rosyjską melodię podłożył tekst. Wzruszała nas ta polska nowa canzona, weszła niejako w krew. Przyhołubiona, towarzyszyła nam w drodze dalekiej. Huttner ochrzcił ją „taniem armatnim”. Jej słowa były proste i ciepłe:

*Znowu Rok, a teraz jest już czwarty,
Ani listu, wszelki zanikł ślad,
Powiesz może, że mój uparty,
Że ja tęsknię tyle lat!*

*Gdy za chwilę zamilkną armat strzały,
Kiedy z twarzy zetnę pot i pył
Sięgnę po twoje zdjęcie małe,
Które kiedyś dałaś mi.*

*Powstrzymaj łzy!
Ostatnie gdy umilkną strzały,
Opadną mgły!
Gwiazdki się będą z nas śmiały!
Więc czekaj na ten dzień,
Gdy słońce wyjdzie nam naprzeciw
I ufaj przeznaczeniu.
Trwaj w milczeniu - dziś!*

*Cóż ci dzisiaj mam do powiedzenia:
Parę zwykłych, prostych ludzkich słów,
I to jedno: Do widzenia!
Do widzenia! Bywaj zdrow!*

Gdy za chwilę zamilkną armat strzały... itd.

Potem przyszedł rozpalony Irak ze swą beznadziejną szaryzną bytowania, Palestyna, Egipt i wreszcie Włochy. Julek bez przerwy pisał, tworzył, komponował. Podczas

gorących i krwawych dni Cassina Julek był na stanowiskach swej baterii. Spoglądał często przez konary oliwek na kontury klasztoru, wzdychał, chodził niespokojny, coś go gryzło. Wreszcie nie wytrzymał:

- Pieska służba w tej artylerii! Strzelasz nie wiesz do kogo, wyników nie widzisz, bodaj to w piechocie. Spojrzeć szwabom w twarz i napluć im w ślepie.

Po bitwie, kiedy ogłoszono zaciąg do wykrwawionej piechoty, Huttner stanął do raportu i przeniósł się do królowej broni. Jego przełożeni byli nawet zadowoleni, że się go pozbyli. Ścisłość formuł i wzorów artyleryjskich, pedanteria planów ogni, sinusowe twierdzenia klóciły się z pełną fantazją, polotu i poczucia piękna naturą podchorążego. Julek został dowódcą plutonu w 4 Batalionie Strzelców Karpackich. Na tym stanowisku wiódł swoich żołnierzy od Chienti aż po Pesaro w ciągłym zgiełku bitewnym, w huku dział, w trudzie ponad siły. Po kampanii adriatyckiej spotkałem go w Recanati (tam miał willę Beniamino Gigli) w kantine żołnierskiej. Grał pośród kręgu zadumanych żołnierzy Etiudę Rewolucyjną. A był to czas ginące-

go w osamotnieniu Powstania Warszawskiego...

W listopadzie jego batalion poszedł bez przygotowania artyleryjskiego cichym nocnym natarciem na Monte Fortino. Wdarł się w linie niemieckie. Wyduślił szwabów, siadł okrakiem na zdobytych wzgórzach. Mówiono później, że to z winy batalionu mimo pierwotnego sukcesu trzeba było potem rejterować po niemieckim niespodziewanym kontruderzeniu. Ciężko rannego Julka znosili na płaszczu niemieccy jeńcy. Cierpiał bardzo. Powiedział jeszcze:

- Mam tę satysfakcję, że mnie niosą te s...syny, które może moją rodzinę w Polsce wymordowali.

Ale już śmierć położyła na jego skroniach znaczące cienie. Polska mu dała pośmiertnie stopień podporucznika i niebiesko-czarną wstążeczkę Orderu Wojennego Virtuti Militari. Jego grób znajduje się na cmentarzu polskim w Bolonii pośród innych mogił polskich Żydów, którzy ponad wszystko umiłowali Polskę i Wolność, którzy mimo namów, szeregow naszych nie odstąpili, sztandarom pozostali wierni tak jak ci pod Monte Cassino.

Tłumacz w okresie I Wojny Światowej

Powrót (c.d.)

Franciszek Petrus

Od Redakcji -

Obecny odcinek autobiograficznej powieści naszego Tłumaczanina dotyczy jego pobytu w wojsku austriackim pod koniec toczącej się I Wojny Światowej.

Tymczasem zaczęły dziać się rzeczy, których nikt nie przewidywał.

Oto 12 marca 1917 została obalona władza carska. Car Mikołaj II został zmuszony do abdykacji i w Rosji została proklamowana republika.

Władzę objął Rząd Tymczasowy, w całym zaś kraju zaczęły żywiołowo powstawać Rady Delegatów Robotniczych i żołnierskich.

Kowal chłonał chciwie wszystkie te wiadomości i nie bez pewnych podstaw przypuszczał, że Rosja może w wyniku tych przemian wypaść w każdej chwili z grona państw walczących, co w konsekwencji może przyspieszyć zakończenie wojny.

Jakkolwiek wiadomości prasowe o wypadkach w Rosji były bardzo szczupłe, to jednak ludzie wiedzieli dokładnie co się tam dzieje. Dyskutowano i omawiano już niemal jawnie wydarzenia te po restauracjach, gdzie zbierali się żołnierze.

Z rozmów tych dowiedział się Kowal, że Piotrogradzka Rada Robotniczo-Żołnierska, uchwaliła w dniu 29 marca 1917 proklamację stwierdzającą, że Polska ma prawo do niezawisłego bytu. Rada ta przesyłała Narodowi Polskiemu braterskie pozdrowienia wraz z życzeniami odbudowania Polski niezawisłej i demokratycznej.

Mówiono też o powstaniu w Rosji Polskiej Komisji

Likwidacyjnej, której zadaniem miało być przygotowanie rozdziału Polski od Rosji.

Słuchając tych wiadomości, Kowal dostawał wprost zawrotu głowy.

Tam w Tłumaczu zapewne wszyscy dokładniej wiedzą o tym wszystkim - myślał. Dlaczego nie mogę teraz właśnie być tam i dzielić z nimi tę wielką radość.

Wdał się jednego razu w czasie niedzielnej przechadzki w rozmowę z dwoma robotnikami czeskimi i był zaskoczony ich zasobem wiadomości i uświadomienia politycznego. Gdy się dowiedzieli, że jest Polakiem, odnieśli się do niego z nadzwyczajną wprost szczerością i sympatią.

Będzie wolna Polska, będą i wolne Czechy, bo diabli wezmą całą Austrię, mówili i poszli potem razem na piwo.

Przypomniały mu się te czasy, kiedy to przed pójściem do gimnazjum, pracował na budowie i jak dobrze czuł się wśród tych prostych, szarych ludzi. Żegnając się wieczorem przyrzekli sobie spotykać się od czasu do czasu i dzielić się wiadomościami.

W pierwszych dniach kwietnia znalazł się wreszcie Kowal w szkole oficerskiej w Jagerndorfie. Z tak zwanych jednorocznych ochotników z różnych jednostek wojskowych, zorganizowano 8 plutonów nad którymi objęli dowództwo wykładowcy oficerowie.

Zaczął się bardzo ciężki okres w życiu Kowala.

Służba w pułku i zajęcia w oddziale jednorocznych, w porównaniu z tym, co się tu działo, były niewinną igraszką.

Olbrzymi materiał z dziedziny musztry, służby, polowej terenoznawstwa, organizacji wojska - wykładanych wyłącznie w języku niemieckim, trzeba było bezapelacyjnie dobrze opanować. Codzienne wyczerpujące ćwiczenia dobijały wprost aspirantów oficerskich. Nic też dziw-

nego, że wieczorem wszyscy kładli się pokotem, waląc się poprostu z nóg.

Kwatery poszczególnych plutonów znajdowały się w pofabrycznych budynkach dawnych fabryk amunicji.

Każdy otrzymywał z przydziału mały bochenek chleba na pięć dni. Rano wydawano czarną kawę z jakiejś wstrętnej namiastki.

Ponieważ chleb każdy zjadał w dniu przydziału, trzeba było przez następne cztery dni odbywać ciężkie i nużące ćwiczenia o głodzie, gdyż słodzona sacharyną kawa, nie mogła zaspokoić nękającego głodu.

Przy wydawaniu obiadu, zmieniano codziennie kolejność poszczególnych plutonów tak, że nieraz półtorej godziny musiał pluton czekać, zanim pobrał w kolejce obiad. Był to zwykle rosół gotowany na jakichś kościach,

mikroskopijny wprost kawałek mięsa i kilka dużych gotowanych wisien. Dopiero po zjedzeniu tego obiadu - Kowal odczuwał targający wprost wnętrznościami głód.

Już pod koniec pierwszego miesiąca - ci zwłaszcza, którzy nie mieli poza nikłym żoldem żadnych pieniędzy, wyglądali jak cienie.

Plutony już w pierwszych dniach maja znacznie się przerzedziły, na skutek odejścia z nich z powrotem do swych pułków tych którzy z powodu braku wystarczającej znajomości języka niemieckiego, nie byli w stanie opanować wykładanych przedmiotów.

Tu dopiero mógł Kowal przekonać się, jak dalece przydała mu się znajomość języka niemieckiego, który względnie dobrze już w czasie nauki w gimnazjum opowiadał i poprzez czytanie gazet niemieckich, stale pogłębiał.

Miasto Jagerndorf-Ołomuniec było ośrodkiem przemysłowym. Przeważały tu fabryki amunicji karabinowej i artyleryjskiej oraz granatów ręcznych. Przez cały dzień słychać było nieustannie huk rozrywających się, w czasie dokonywania prób, granatów ręcznych.

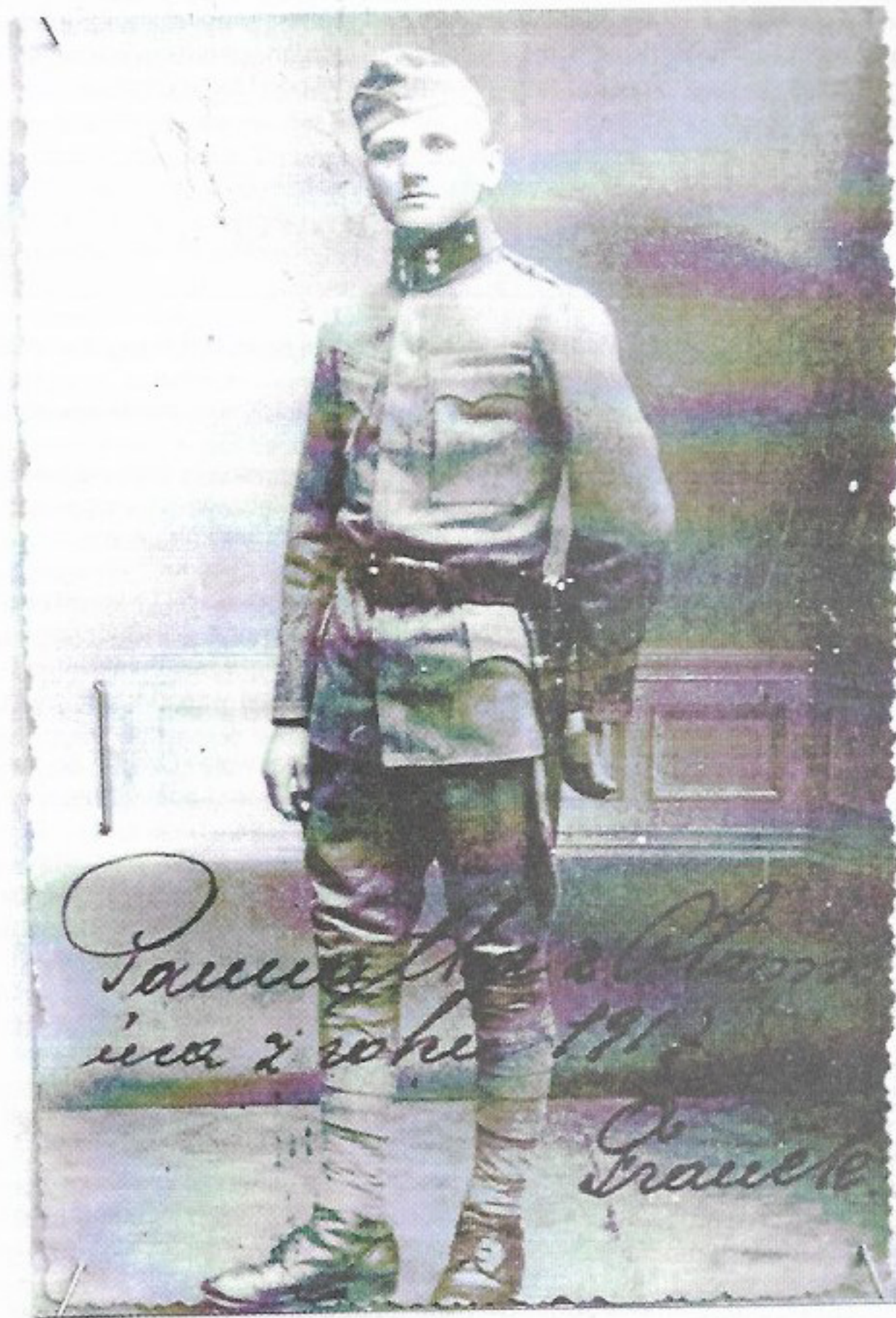
Wszelkie wysiłki fizyczne znosił Kowal dość dobrze. Jednej tylko rzeczy nie mógł opanować - to jest głodu, który często odbierał zdolność myślenia i pozbawiał wprost sił.

A jednak trzeba było wytrwać za wszelką cenę ci bowiem, którzy wrócili ze szkoły bez jej ukończenia do pułków, byli natychmiast wcielani do kompanii marszowych i odchodzili na front z możliwością awansu najwyżej na podoficerów.

Natomiast absolwenci szkoły, po kilkumiesięcznym pobycie na froncie, dostawali awans na chorążych - przywiązaną do tego stopnia miesięczną gażę i różnego rodzaju przydziały oficerskie jak: tytoń, papierosy, umundurowanie, bieliznę i prawo korzystania z kasyna oficerskiego.

Tymczasem przyszły upalne dni czerwcowe i Kowal nieraz leżąc zupełnie wyczerpany, myślał z gorącością o tym, czy nadejdą jeszcze takie czasy, że będzie mógł jeść tyle chleba, ile zapagnie i czy będzie mógł do syta wysypiać się tak, jak to sypiał w domu na miękkich poduszkach i pod miękką, ciepłą koldrą.

Poza te myśli i marzenia - rzadko kiedy Kowal wybiegał. Czuł, że tępieje zupełnie w tej podłej machinie i że powoli staje się bezwolnym automatem. Rozumiał teraz dlaczego dziesiątki -



Franciszek Petrus - lipiec 1917r. po szkole oficerskiej Jagersdorf - Ołomuniec
Dzięki zbiorom dr Michała Nikosiewicza dot. Tłumacza, a szczególnie dokumentacji ikonograficznej mogliśmy odnaleźć zdjęcie Franciszka Petrusa z okresu, który opisuje w swoich odcinkach autobiograficznej powieści.
Redakcja

setki tysięcy - co więcej - miliony - takich jak on żołnierzy, doprowadzonych wprost do oblędu bezwzględą dyscypliną wojskową i wszelkiego rodzaju szykanami, ślepo wykonują rozkazy swych przełożonych, zabijają rzekomych wrogów i sami dają się zabijać.

Ach! Rozerwać - rozsadzić ten zaklęty krąg - cóż to za dzień triumfu ludzkości będzie wówczas!

Z końcem czerwca odbył się pierwszy przegląd szkoły, a zarazem częściowy egzamin.

Na szkołę „spadł” inspektor armii, niby rozsiała huragan. Sypały się pytania, na które nie było odpowiedzi w żadnych podręcznikach, a które generał szczerze rzucał zarówno aspirantom jak też i wykładowcom, nie szczędząc nawet komendanta szkoły oficerskiej.

Któż mógł wiedzieć lub odgadnąć, że na przykład karabin czyści się ochotą i miłością, a nie pakułami i oliwą. Mit Lust und Liebe - ryczał generał - wprowadzając wszystkich w osłupienie. Wystrojeni uroczyście w swoje paradne mundury wykładowcy z komendantem szkoły na czele, nie spodziewali się tego zaszczytu, że przyjdzie im udzielać odpowiedzi na pytania generała inspektora, na które nie umieli odpowiedzieć aspiranci i że przyjdzie im w tych galowych mundurach czułgać się po spalonej słońcem murawie na placu ćwiczeń pod rzekomym ogniem nieprzyjaciela.

Ze wstydem dowiadywali się od generała przy rozwiązywaniu zadań ze służby polowej, że nie zachowują się wcale bojowo i że skoro oni nie umieją rozwiązać stawianych im zadań, to jak mogą je rozwiązać aspiranci.

Zdawało się, że dzień Sądu Ostatecznego odbywa się nad całą szkołą i że dzień ten nadszedł tu, wraz z przybyciem generała inspektora.

Żał było Kowalowi komendanta szkoły, starszego człowieka, kiedy na rozkaz generała z pozycji „padnij”, musiał czułgać się na łokciach i wydawać rozkazy, które generał kwalifikował jako czyste nonsensy, wypowiadając co chwila z pewnym namaszczeniem swoje „Keine Ahnung - keine grüne Ahnung meine Herren”.

Przyszła kolej na ósmy pluton, który w dniu tym prowadził z rozkazu dowódcy plutonu - Kowal. Nie mógł zrozumieć dlaczego jego właśnie wybrał dowódca plutonu na ten feralny dzień do dowodzenia.

Na stole polowym rozłożono mapę sztabową. Już sam widok mapy i generała, którego Kowal pierwszy raz w życiu widział z tak bliska i posępne twarze oficerów wykładowców, wprowadziły Kowala w przerażenie, graniczące niemal z osłupieniem.

Lecz widać było już, że generał jest wyraźnie zmęczony i zapewne w głębi swej duszy był przekonany, że dokonał tego, czego pragnął, to jest że zdeprimował wszystkich dokoła, wykazał brak fachowych wiadomości u oficerów i że teraz będzie można wyciągnąć odpowiednie konsekwencje.

Generał zwrócił się do Kowala: "Od strony Sternbergu i Jagerndorfu maszerują przeciwko sobie dwa pułki piechoty, jest godzina ósma rano. Na podstawie mapy jednoroczny ochotnik Kowal określi przypuszczalną sytuację, jaka wytworzy się o godzinie pierwszej. Jeszcze usłyszał Kowal za sobą wypowiedziane szeptem przez dowódcę plutonu porucznika Stucharta słowa: „Czy trochę nie za wiele, jak od kandydata na dowódcę plutonu” - i te słowa dodały mu nieco otuchy.

Generał oddalił się od stołu polowego, zebrał wokół siebie wszystkich oficerów, zapalono papierosy i generał coś tłumaczył komendantowi szkoły.

Tymczasem Kowal tkwił przy mapie jak skazaniec pod szubienicą, oczekujący momentu egzekucji. Aspiranci ze stojących w pewnej odległości plutonów obserwowali Kowala i to go jeszcze więcej peszyło.

Już nie poszczególne litery i cyfry na mapie tańczyły mu przed oczyma, ale cała mapa wirowała jak szalona i tańczyła przed nim. Jedno tylko odgadł z całą pewnością, że generałowi chodzi w tym wypadku o typowy bój spotkaniowy. Zaczął więc od tego.

- A Sie verfluchter Gauner! - wrzasnął generał - akcentując dobitnie każde słowo.

- Tak jest panie generale! - odpowiedział, a raczej wykrzyknął jednym tchem Kowal.

- Co - tak jest? - zapytał generał.

Aufklarung, Sicherung, Verbindung, Gruppierung - oto cztery podstawowe elementy, o których winien pamiętać każdy samodzielny dowódca - odpalił bez zająknięcia Kowal, dając tym zarazem do zrozumienia, że nie odnosi do siebie wypowiedzianych przez generała obelżywych słów i że każda z początkowych liter tych wyrazów, stanowi pierwszą literą niemieckich słów. Aufklarung, Sicherung, Verbindung, Gruppierung - to jest rozeznanie, ubezpieczenie, łączność i ugrupowanie.

Generał powiódł triumfalnym wzrokiem po oficerach. Widać było, że jest z odpowiedzi zadowolony. Teraz Kowal zaczerpnąwszy tchu, mniej lub więcej dokładnie malował ugrupowanie pułków, w toczącym się o godzinie pierwszej boju spotkaniowym.

Dowódca ósmego plutonu płonął radością. Był to jedyny sukces tego pierwszego dnia. Kowal czuł jak drży cały z emocji, która opanowała na chwilę nawet jego przełożonego zmęczenie i głód.

W chwili, kiedy pluton odmaszerowywał, generał zwrócił się do komendanta szkoły:

- Zdaje się, że jednoroczny ochotnik Kowal w pełni zasługuje na kwalifikację „zum Offizier besonders geeignet”.

- Tak jest panie generale! - odpowiedział komendant szkoły.

- Jednoroczny Kowal winien być awansowany o jeden stopień i po skończeniu szkoły będzie skierowany do jednego z pułków spiesznej kawalerii na instruktora.

- Rozkaz panie generale!

W wyniku dokonanego w ciągu tygodnia przeglądu, turnus szkoły oficerskiej został przedłużony do końca lipca, a więc o dalszy jeden miesiąc, zmieniono komendanta szkoły i kilku wykładowców, którzy wrócili do swych pułków z perspektywą skierowania na front.

Równocześnie przeredziły się niektóre plutony, gdyż skierowano z powrotem do pułków kilkudziesięciu zdyskwalifikowanych jednorocznych.

Jeszcze pełny miesiąc mordercy i głodu - myślał Kowal z goryczą i doszedł do wniosku, że w takiej sytuacji lepiej już chyba było znaleźć się na froncie, gdzie jak mówiono, żołnierze otrzymują pół bochenka chleba dziennie, no i dość możliwe wyżywienie.

c.d.n.

Dwór hrabiów Słoneckich w Zielonej*

Mieczysław Zdanowicz

*Wieś położona w pow. Tłumackim obok Jezierzan

Habsburgowie to jedna z najpotężniejszych europejskich rodzin panujących. Austriacki dwór Habsburgów we Wiedniu był arcykatolicki, a według mojej babci Apolonii był również rozpustny. Liczne damy dworu cesarskiego, baronówny i hrabianki węgierskie, czeskie i austriackie tworzyły bogatą galerię urody, szyku i elegancji. Były też tam urodziwe damy i panny hiszpańskiej linii Habsburgów. Konstelację Habsburskiej elity dopełniali kawalerowie Złotego Runa, książęta, hrabiowie, baronowie oraz ambasadorowie licznych krajów.

Na Wystawie Światowej w Paryżu w 1900 roku armia austriacka zdobyła najwyższą nagrodę. Jednak nie za najlepszy karabin czy działo, lecz za najelegantszy mundur. Tak więc komendant Gwardii Dworu Cesarza Franciszka Józefa, hrabia Słonecki w mundurze wyższego oficera prezentował się znakomicie, uosabiając niejako młodego "boga wojny i pokoju". Jego wysoki wzrost, ujmująca elegancja i uroda, godna Ks. Józefa Poniatowskiego, czyniła go obiektem dużego zainteresowania, a w szczególności przez pleć piękną dworu. Zainteresowanie hrabią Słoneckim stało się też przyczyną jego tragedii rodzinnej. Dwór Habsburgów był chyba jedynym dworem cesarskim w Europie, w którym ustawicznie odbywały się uroczystości, przyjęcia, rauty, zabawy, turnieje itp. Tworzyły one barwny kalejdoskop zdarzeń towarzyskich. Na tym tle powstawały też poprzez ciche intrygi i zawiści różne plotki, czasem doprowadzające do skandali, o których chętnie pisały gazety berlińskie i londyńskie. Jedną z plotek wiedeńskiego dworu dosięgła hrabinę Słonecką w Zielonej. Plotka jak kula czy sztylet może również zabić! Wrażliwa i osamotniona hrabina mocno nad wyraz przejęta w desperacji popełniła samobójstwo, które wstrząsnęło całą okolicą.

Po otrzymaniu wiadomości o tragedii rodzinnej, w kilka godzin szybkiej jazdy czterokonnym pojazdem hrabia Słonecki przyjechał z Wiednia do swego dworu. Wszyscy już oplakiwali hrabinę, patrząc na osierocone córki. Pogrzeb hrabiny był nadzwyczaj uroczysty i prze-

muający zgromadził liczne tłumy ludzi z okolicznych wsi, dworów i miasteczek. Hrabinę pochowano na cmentarzu parafialnym za wsią, na wzgórzu, z którego rozciągał się rozległy krajobraz na Karpaty aż po Czarnohorę. Wiednia stąd nie było widać, dokąd po pogrzebie hrabiny hrabia Słonecki zabrał osierocone przez matkę swoje córki. Dwór hrabiów Słoneckich w Zielonej pozostał opustoszały, lecz pozostały ślady jego losu w ludzkiej pamięci po dzień dzisiejszy.

Babcia Apolonia żalując Hrabinę i jej osierocone córki wciąż powtarzała o złym oddziaływaniu dworu cesarskiego, z winy którego umierają niewinni, jak hrabina Słonecka. Dziadek bardziej odczytany stwierdzał, że nad dworem Habsburgów ciąży jakieś złe fatum i hrabina nie jest jedyną ofiarą i odtworzył z pamięci wcześniejsze bolesne wydarzenia. Brat Franciszka Józefa, arcyksiążę Maksymilian Ferdynand, cesarz Meksyku został rozstrzelany przez pluton egzekucyjny w Meksyku w 1867 roku. Arcyksiążę Rudolf, syn cesarza, następca tronu austriackiego popełnia samobójstwo wraz z kochanką w Mayerlingu, letniej rezydencji pod Wiedniem. Siedem lat po samobójstwie Rudolfa brat cesarza, Karol Ludwik, zmarł po wypiciu świętej - lecz zatrutej - wody z rzeki Jordan, podczas pielgrzymki do Ziemi Świętej. Rok później Cesarzowa Elżbieta zakłuta została zaostrożnym pilnikiem przez włoskiego anarchistę w Genewie w 1898 roku. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand, bratanek cesarza, następca tronu austriackiego ginie wraz z żoną z rąk zamachowca Gawryły Principa na ulicy Sarajewa w 1914 roku. To pismo nieszczęść jakie spadały na dwór Habsburgów. Mimo tak bolesnych doświadczeń stary już cesarz nie załamywał się. Był stanowczy, zwłaszcza gdy uważał, że jedność armii lub państwa jest zagrożona, w innych znowu przypadkach zadziwiał ministrów elastycznością i instynktem politycznym. Wiele osób nazywało go "starym gentelmanem z Hofburga", mając na uwadze jego dworskie maniere. Ktoś nazwał także Franciszka Józefa Ostatnim Rycerzem, co przywodzi na myśl walkę o przegraną sprawę i wierność aż do śmierci". A. Wheatcroft. W roku 1910 spotkał się z amerykańskim mężem stanu, Theodorem Rooseveltem i zauważył na wpół tylko żartobliwie, że jest ostatnim przedstawicielem starego systemu. W osiem lat później potężne imperium austriackie przez stulecia budowane przez Habsburgów rozpadło się. W dwa lata przed upadkiem cesarstwa umiera Ojciec Wielu Narodów - cesarz Franciszek Józef. □

Kościóły stanisławowskie cz. II

KS. LESŁAW JEŻOWSKI

Drugi kościół, jaki najlepiej zapamiętałem ze swego dzieciństwa, nazywał się Ave Maria i stał przy ulicy Gillera, bocznej Lipowej, na ogrodzonym, trawiastym terenie. Jego imię było powtórzeniem półokrągłego napisu w murze, widniejącego nad wejściem. Był nieduży, jednokolumnowy, raczej duża kaplica niż kościół, nie wyróżniający się niczym szczególnym, ani architektonicznie, ani w zdobnictwie. Gdyby nie wieża na froncie, nawet trudno byłoby

go zauważyć w zabudowie ulicznej. W odróżnieniu od innych kościołów stanisławowskich, Ave Maria nie miał dzwonnów. Jedynie na krótko przed nabożeństwami odzywała się mała sygnaturka. Ponieważ do Ave Marii mieliśmy najbliżej z naszego domu, tam chodziliśmy na nabożeństwa majowe i inne wieczorne, a czasem i na Msze Św. Gdy zacząłem chodzić do szkoły im. Czackiego, jako uczeń byłem zobowiązany wraz z kolegami uczestniczyć w niedzielnych Mszach Św. właśnie w tym kościele, który był położony w pobliżu szkoły. Chociaż stale uczęszcza-

liśmy do niego, to jednak nie przystępowaliśmy w nim do spowiedzi. Być może dlatego, że nie posiadał większej ilości konfesjonatów. Spowiadaliśmy się co kwartał, jak było wówczas przyjęte, u fary.

Główny ołtarz w prezbiterium Ave Marii miał nastawę wykonaną z ciemnego drewna, w której widniał obraz M. B. Nieustającej Pomocy. Na półokrągłym zakończeniu frontowej ściany prezbiterium znajdował się szeroki, równoramienny krzyż, a na nim cierniowa korona i wąska, koronkowa firanka owalnie odgraniczająca je od nawy.

Dwa boczne ołtarzyki, już w nawie, po obydwóch stronach prezbiterium, przedstawiały się bardzo skromnie. Stół nakryty obrusem, nad nim obraz lub figurka. Na chórze z drewnianą balustradą brakowało organów. Zastępowała je fisharmonia. Grał na niej dyrektor naszej szkoły, Stanisław Gajkowski. A gdy coś mu przeszkodziło, zastępował go nauczyciel, p. Bryczkowski, który jednak umiejętnościami nie dorównywał swojemu pryncypałowi. Zarządzał kościołem ks. Barg, katecheta Seminarium nauczycielskiego, pomagali mu inni katecheci szkolni.

Z Ave Maryi niezapomniane dla mnie pozostały nabożeństwa majowe. Chętnie brałem w nich udział. Przeważnie wychodziłem na nie z domu sam. Mama, gdy nie miała pilnych zajęć - bo wtedy w nim pozostawała - jakoś nie mogła zdążyć na oznaczoną godzinę, i wysyłała mnie naprzód. Sygnałem przygotowania się do wyjścia było pojawienie się za oknami Szarytek, które ze szpitala szły do Ave Maryi. Majowymi wieczorami Lipowa pachniała licznymi ogrodami i ogródkami. Gdy przechodziłem obok nich, owiewała mnie silna woń kwiatów. Czasem lubilem zebrać jakieś wychylające się za ogrodzenie i wachać w drodze do kościoła. Skręciwszy z Lipowej na Gillera, miałem długi, parterowy dom należący do stolarza o nazwisku - chyba - Stelmaszyński. Przez kilka nisko usytuowanych okien widziałem we wnętrzu pomieszczeń liczne meble przeznaczone na sprzedaż. Co jakiś czas pojawiały się nowe na miejsce tych, które ktoś nabył.

Litanie loretańska śpiewało się w kościele według dwóch melodii, ale ta najczęściej używana podobała mi się szczególnie. Powtarzałem ją na fortepianie w domu i zapamiętałem do dzisiaj, chociaż później już jej nigdzie nie słyszałem. Jeżeli chodzi o kazania, nawet o poszczególne myśli w nich zawarte, podobnie jak z kościoła ormiańskiego, nie zapamiętałem niczego. Czasem, w zastępstwie ks. Barga, nabożeństwo majowe odprawiał inny ksiądz. Raz uczynił to ks. Władysław Gądek, mój katecheta szkolny. Był on fizycznie, a zapewne i psychicznie, kontrastem ks. Barga. Odmawiał i śpiewał modlitwy głosem o jakimś specyficznym, świeckim zabarwieniu, w sposób zgoła nie kościelny, co nas, jego uczniów, zresztą szczerze go lubiących, bardzo rozśmieszało. Ale szczytem „popisów” naszego księdza było udzielenie sakramentalnego błogosławieństwa przy końcu majówki. Monstrancja chwiała się mu w rękach na wszystkie strony, uczynił nią znak krzyża niezwykle szybko tak, że welon nie mógł się mu utrzymać na plecach. Toteż gdy wyszedłem z kościoła, jak to zwykle bywało z kilkoma kolegami, dowcipkowanie i naśladowanie naszego katechety zajęło nam spory kawałek drogi do domu.

Kiedy indziej mieliśmy inne tematy rozmów. Nigdy ich nie brakowało, ale chociażby były najbardziej ciekawe, przerywaliśmy je zobaczywszy chrapaszczce latające koło zapalonych już ulicznych lamp gazowych, brzęczące nam nad głowami, czy też latające między gałęziami drzew. Łapaliśmy je i chowaliśmy do noszonych przy sobie w tym celu pudełek (ja tego nie robiłem), lub pobawiwszy się nimi, puszczaaliśmy je z powrotem na wolność. Te uwięzione demonstrowaliśmy nazajutrz podczas zajęć szkolnych.

Nigdy nie wracaliśmy do naszych mieszkań w towarzystwie dziewczynek, chociaż mogłyby być z najbliższego sąsiedztwa. Uważaliśmy, że chłopcy nie powinni się zadawać z koleżankami. Tak, jak w kościele one stały po prawej stronie, a my po lewej, a w szkołach - my u Czackiego, a one u św. Zofii. Do przyjętego przez nas zwyczaju należało wzajemne odprowadzenie się do domów. Lecz tym odprowadzającym byłem przeważnie ja, bo ci koledzy, z którymi się przyjaźniłem, mieszkali przy Lipowej dalej ode mnie.

Na większe uroczystości i święta chodziliśmy wspólnie, całą naszą rodzinną trójką, do Fary, do Kolegiaty, jak się ten największy w Stanisławowie parafialny kościół oficjalnie nazywał. Odległość między naszym domem przy ulicy Lipowej a nim była prawie taka sama, jak między nami a kościołem ormiańskim. Obydwa kościoły stały w pobliżu rynku. Nad kolegiatą górowała kopuła zwieńczona stosunkowo wysoką wieżą. Dwie niższe od niej łączyły się z fasadą kościoła. Między nimi, nad głównym wejściem znajdowała się wnęka, jakby balkon z dużym oknem, przez które dzienne światło wpadało na chór kolegiaty. Obok głównego, do wnętrza prowadziły dwa boczne wejścia usytuowane po jego bokach. Myśmy korzystali zawsze z tego po prawej stronie, do którego mieliśmy najbliżej, idąc placem Kolegiackim czyli Padarewskiego. W nawie, do której weszliśmy, stały przy filarach ołtarze. Robił na mnie wrażenie krucyfiks na ciemno czerwonym aksamicie, znajdujący się w jednym z nich. Z upodobaniem przypatrywałem się złocistym aniołom, które stały na dwóch ołtarzach ukośnie usytuowanych u wejścia do prezbiterium. Zastanawiały mnie ich gesty, niczemu nie służące, wprost zbyteczne. Przyciągały mój wzrok małe figurki aniołków, tłuściutkich, rumianych siedzących na krajach ołtarzowych gzymsów. Dlaczego tam siedzą? I jak to się dzieje, że nie spadają na dół? Po rozpoczęciu nauki szkolnej, instruowany jak należy poprawnie siedzieć w ławce, trochę się gorszyłem, że te aniołki w ten sposób zajmują miejsce, zamiast usiąść jak należy.

Intrygowała mnie kamienna trumna, która stała na ołtarzu w prawej części transeptu i metalowa urna na niej. Tato wyjaśnił mi, że sarkofag jest symboliczny, nie zawiera żadnych zwłok, a w urnie są relikwie św. Wincentego, rzymskiego rycerza i męczennika, którego, w pancerzu i hełmie z pióropuszem przedstawiał obraz wiszący powyżej. A może, zresztą, nie obraz, ale rzeźba umieszczona przy trumnie. Podobał mi się wielki, główny ołtarz z dużym obrazem w nastawie. Często mu się przyglądałem, ale nie mogłem się połapać, co przedstawia. Był ciemny, posiadał wiele szczegółów, których nie umiałem połą-



Kolegiata Stanisławowska - Kościół wybudowany w 1669 r. fot. Marek Rogalski 1998

czyć w całość. Później, po kolejnym przebywaniu w fary, już widziałem Boga Ojca malującego pędzlem obraz Matki Boskiej, ale nie rozumiałem znaczenia takiego ujęcia. Przecież Pan Bóg nie jest malarzem, nie namalował żadnego portretu, dlatego więc tam, na ołtarzu, przedstawia się Go z pędzlem pod rozpiętym płótnem, na którym tworzy ten wizerunek? Nie umiałem sobie na to odpowiedzieć i prawdopodobnie nikogo nie prosiłem o wytłumaczenie zagadkowego obrazu.

Przy głównym wejściu, pod chórem stały dwa duże, złożone posągi jakichś wygiętych mężczyzn z podgolonymi głowami, w szlacheckich ubiorach. Sądziłem, że to może święci. Dopiero ojciec powiedział mi, że przedstawiają Potockich, założycieli miasta i fundatorów tego kościoła. Informowały o tym łacińskie napisy umieszczone na graniastych podstawach obydwu rzeźb. Pewnego dnia usunięto je z kościoła, a ludzie szybko o nich zapomnieli. Małe wizerunki rodziny Potockich, malowane prawdopodobnie na blasze i ujęte w duże obramowania, wisiały nad wejściem do obydwu zakrystii w prezbiterium i we wnętrzu jednej z nich.

W początkach lat dwudziestych proboszczem kolegiaty był ks. Piaskiewicz, chorowity i posunięty w latach. Prawie nigdy nie widywało się go przy ołtarzu ani na ambonie, podczas głównych mszy. Ten i ów z odwiedzających nas księży utrzymywał, że jest zamknięty w sobie, skąpy, mało interesujący się parafią. Nie pojmowałem, że jakkolwiek kapłan mógłby być taki. Ja sam widziałem ks. Piaskiewicza chyba raz. W jakiś ranek, gdy stałem w swoim zwykłym miejscu obok ołtarza św. Wincentego, wyszedł z konfesjonaułu w lewej nawie i przez transept, powłócząc nogami zmierzał do zakrystii po prawej stronie głównego ołtarza. Miał na sobie ciepłą bundę, pod białym kołnierzykiem odsłaniał się kawałek fioletowego pektorału. Ks. Piaskiewicz zmarł podczas mego pobytu w Stanisławowie, ale na jego pogrzebie nie byłem.

Trochę bliżej związałem się z kościołem parafialnym w okresie mojej pierwszej Komunii św., którą przyjąłem w 1928 r. Chodziłem częściej do swojego katechety, ks. Władysława Makarczuka, który równocześnie pełnił funkcję wikarego parafialnego, a przy tej okazji wstępowałem do kościoła. Poznałem wtedy zakrystię, zakamarki przykościelne, stojącą obok fary drewnianą dzwonnice.

Swoją pierwszą spowiedź odbyłem też w tym kościele, u ks. Dąbrowskiego, katechety szkoły żeńskiej. Doradziła mi go jako spowiednika ciotka Zofia, utrzymując, że jest bardzo łagodny. Spowiednika zapamiętałem, ale zapomniałem już kto pierwszy raz podał mi Komunię św. w tym kościele. Razem z kolegami klęczałem na najwyższym stopniu głównego ołtarza przy rozciągniętym obrusie podtrzymywanym po bokach przez dwóch starszych ministrantów. Byłem przejęty, ale nie za bardzo w sensie religijnym, i wątpię czy na pytanie o najszcześniejszy dzień w życiu, mógłbym wskazać właśnie ten. Ale Pan Jezus Eucharystyczny pociągał mnie i za kilka godzin, po wyjściu z budynku województwa od swojego ojca, w drodze do kościoła, który chciałem z własnej woli znowu odwiedzić, namawiałem towarzyszącego mi kolegę, abyśmy drugi raz przyjęli Komunię św. Ponieważ nie wiedziałem na pewno, czy to jest dozwolone, a kolega wysuwał obiekcje, zrezygnowałem ze swojego zamiaru.

W kościele kolegiackim otrzymałem również sakrament bierzmowania. Stało się to chyba gdy chodziłem do czwartej klasy szkoły powszechnej, czyli w 1930 r. Albo o rok wcześniej. Przy okazji wizytacji biskupiej. Do Stanisławowa przyjechał na nią arcybiskup Bolesław Twardowski ze Lwowa. Feta co nie miara. Na oznaczoną popołudniową godzinę powitania arcybiskupa ciągnęły z całego miasta tłumy, zmierzając w stronę placu przy kolegiacie, maszerowały oddziały żołnierzy, szeregi Sokolów, ciągnęła kawaleria wojskowa, podążały rozmaite umundurowane stowarzyszenia i związki, sznury idącej parami młodzieży szkolnej itd. Gdy szedłem z Mamą na uroczystość przywitania, koło województwa zobaczyliśmy przejeżdżający, odkryty samochód wiozący arcybiskupa do kościoła. Siedział w tyle wozu, z odkrytą, siwą głową, w fioletowej sutannie. Obok niego jakiś ksiądz. Mowy nie było, aby teraz zdążyć na powitanie i dostać się gdzieś w pobliże biskupa. Toteż Mama nie zamierzała tego uczynić. Pozostaliśmy z dala od kolegiaty.

Do bierzmowania przystąpiłem zapewne w którymś z kolejnych dni pobytu abpa Twardowskiego w naszym mieście. Odczuwałem dużą treść, bo ks. Makarczuk zapowiadał, że biskup będzie sprawdzał co wiemy z nauki religii. Do momentu zbliżenia się biskupa do mnie powtarzałem w myśli różne definicje katechizmowe, a szczególnie określenie sakramentu bierzmowania. Myliły się mi rozmaite formułki, tak że w końcu nie wiedziałem, która jest właściwa. Na szczęście biskup, który chodził między rzędami klęczących dzieci i dawał im Ducha św., zrezygnował z egzaminowania. Może pytał te, które znajdowały się bliżej ołtarza. A ja byłem w prawej nawie. Jak u innych, tak i przy mnie bardzo krótko trwała cała ceremonia i raczej rozczarowała mnie. Biskup zapewne musiał przemawiać, ale albo spóźniłem się na to kazanie, albo znajdowałem się tak daleko, że nic nie słyszałem. W pamięci mam tylko postać w infule, która od strony ołtarza św. Wincentego zbliża się w moją stronę. I lekkie dotknięcie dłonią mojego policzka. A więc to jest owo uderzenie w twarz, które zapowiadał nasz ksiądz? I nic więcej.

Na procesję Bożego Ciała też chodziliśmy do fary.

Znowu tłumy, a nasza rodzina gdzieś na uboczu, raczej jako widzowie. Ołtarze na województwie, pasażu, wojsko, orkiestra, celebransa niosącego pod baldachimem monstrancję podtrzymują wojewoda i generał. Bardzo lubiłem wielkie uroczystości kościelne pełne powagi i dostojności, ale oddziaływały na mnie tak, jak każde imponujące widowisko świeckie. Już więcej dawały mi ceremonie liturgiczne, w których nie brały udziału tłumy. Np. w Wielkim Tygodniu.

Nie wiem, w której wtedy mogłem być klasie. Może w trzeciej, może w czwartej. Korzystając z tego, że rozpoczęły się ferie wielkanocne, chodziłem sam na ranne nabożeństwa do fary. Być w powszedni dzień rano na Mszy św. było dla mnie czymś niezwykłym i uroczym. Cóż dopiero, gdy łączyła się ona z obrzędami pełnymi treści i piękna, w które trochę wtajemniczał nas ksiądz na lekcjach religii. Toteż stojąc w kościele, tam gdzie zwykle, z przejściem patrzyłem na wszystko, co się działo przy ołtarzu i koło niego. Wielkie Tajemnice oddziaływały na mnie, uobecniały mi to, co się działo przed wiekami w Wieczerniku, na Golgocie, u grobu Pana Jezusa. Czulem się tak, jakbym był tam obecny. Ale nie jakąś marzycielską fantazją, lecz trzeźwą świadomością, która mi mówiła, że tutaj, w tym kościele, w którym jestem obecny, powtarza się to samo, co kiedyś zdarzyło się w Jerozolimie.

Z żalem i jako jeden z ostatnich opuszczałem kościół. Postanawiając wrócić tu nazajutrz, a może nawet tego samego dnia na popołudniową Ciemną Jutrznie.

Było to w jednym z ostatnich dni Wielkiego Tygodnia. Już skończyły się ceremonie, księża wyszli do zakrystii, kościelny usuwał z prezbiterium rozmaite przedmioty, ludzie rozchodzili się do domów, a ja stałem i patrzyłem na kościół. Na ołtarze, na kopułę nad skrzyżowaniem naw, na malowidła na ścianach. Potem przeniosłem wzrok na organy. Promienie słoneczne padały przez okno na jego piszczalki i na złotego anioła, który usiadł na szczycie obudowy instrumentu. Trzymał przy ustach długą, cienką trąbę. Jeszcze niedawno rozbrzmiewały w kościele organowe tony, które mnie wzruszyły, jeszcze w słonecznym promieniu snuł się dym kadzielnny. I nagle zrobiło się mi dziwnie dobrze. Pogodnie i radośnie. Uświadomiłem sobie, że jest mi tu niezwykle błogo, przyjemnie. Tu, w tym kościele, jak nigdzie indziej. Żeby tak zawsze móc tu przebywać. Z dala od świata, od ludzi, od zła i codzienności. A tylko przy Bogu. I teraz, aby nie musieć wyjść na ulicę!

To była nigdy nie zapomniana chwila. Pierwszy wyraźny głos Boży wołający mnie ku sobie. Pierwsza zapowiedź powołania do kapłaństwa.

c.d.n.

Z Tłumackiego Powiatu

Okres wojenny w Tarnowicy Polnej

Z opracowania „Tarnowica Polna - Nasza Ojczyzna” pod redakcją Andrzeja Wziątka - Bystrzyca 2002.

Okupacja sowiecka 1939-1941

Mieczysław Głaba

Po wkroczeniu Armii Radzieckiej w 1939 roku na wsi rządili: komisarz polityczny (komisar), a od spraw rolnych agronom. Skierowani oni byli z „Ottyniowsko Rejonu”. Politrak o nazwisku Zwarysz nauczał młodzież ze wsi pieśni radzieckich, śpiewanych na uroczystościach państwowych i zebraniach. Agronom zaś uświadamiał rolników o strukturze agrarnej w Związku Radzieckim, o wydajności hektara i jakie osiągnięcia ma Kraj Rad po rewolucji (wiele było w tym przechwałek). I tak mówił: „Czy wy wiecie, że u nas krowa daje 80 litrów mleka dziennie?”. A nasz gospodarz (Dymitr Sałdacz) udowodnił mu, że to niemożliwe. Chłopskim rozumem zapytał, ile ta krowa musi zjeść pasz objętościowych, treściowych, ile wypić wody, aby uzyskać 80 litrów mleka dziennie? Jak się później okazało, ci wzorowi hodowcy Kraju Rad kupowali nasze cielaki z rodowodem (Sementaler) płacąc trzykrotną war-

tość, jaka obowiązywała w tym czasie na rynku. Wysyłało je do sowchozów i kolchozów w głąb Rosji.

Wybory do „Rad Deputowanych Trudiaszczych” woj. Stanisławów.

Zebranie odbyło się w Domu Narodowym z udziałem wiejskiej orkiestry. Komisarze wojskowi swoimi przemówieniami agitacyjnymi wychwalali delegata o nazwisku Rudenko. Pod koniec zebrania odbyła się dyskusja, ale nikt z ludności wiejskiej nie wiedział o czym, ani nie miał ochoty dyskutować. Zdenerwowany komisarz zwrócił się do starszej pani (gospodyni), aby weszła na scenę i wygłosiła swoją opinię na temat delegata. Wystraszona kobieta wykrzyknęła: „To, co Wam ludzie powiem, to niech żyje ten Rudenko!”. Wzbudziło to na sali salwę śmiechu i tak skończyła się dyskusja.

Wywóz na Sybir.

Wieś była przygotowana - suchary zapakowane w workach dla poszczególnych osób. Najgorsze było oczekiwanie. W końcu okazało się, że wieś została uratowana przed wywozem z powodu braku wojskowych, osadników i obszarników, we wsi były tylko „biedaki i średniaki”.

Wcielono tylko do Armii Czerwonej, 19 chłopców w wieku poborowym przed wkroczeniem armii niemieckiej w 1941 r., prawie wszyscy zaginęli gdzieś w głąbi Rosji.

Okupacja niemiecka 1941-1943

Pojawienie się Niemców we wsi wiązało się z kontrolami wykonywanymi przez żandarmerię oraz kontrolą gospodarstw przeprowadzoną przez agronoma (Landwirtschaft). Wprowadzono kontyngenty na produkty rolne, a szczególnie na bydło i trzodę chlewną. Zwierzęta były kolczykowane i rejestrowane przez pracownika powiatu. Nakazano uprawianie buraków cukrowych, które należało dostarczyć do cukrowni w Horodence, oraz uprawę tytoniu „Machorki” i „Viginii” z dostawą do fabryki tytoniu w Monasterzyskach.

Młodość od osiemnastego roku życia była brana do prac w lasach, fabrykach i do robót drogowych. Zimą para rolnicy wywozili z lasu drewno. Podczas nasilających się napadów banderowców, wieś wysłała delegację do powiatu, gdzie stacjonował oddział wojskowy z Węgier, z prośbą o zakwaterowanie części wojska w Tarnowicy Polnej. Przesłano batalion żołnierzy węgierskich, którzy szybko zaprzyjaźniali się z tutejszą ludnością. Wzięli pod opiekę nawet nasz kościółek, ponieważ ksiądz uciekł z parafii wraz ze swoją gospodynią na Zachód. We wsi mówiono: „Zostawił owczarnię, a z owcą uciekł”. Węgierski kapelan odprawiał normalnie sumy, chrzczył dzieci, głosił kazania, chociaż nikt go nie rozumiał. Szczególnie nasze panie lubiły się u kapelana spowiadać. Był to bardzo miły oficer w stopniu kapitana, no i najważniejsze, że dawał rozgrzeszenie, choć nie rozumiał klepanych mu grzeszków.

Chór węgierskich żołnierzy pięknie śpiewał pieśni kościelne, na melodie jak nasze. Na górze z chóru śpiewano po węgiersku, na dole z ławek po polsku, a węgierski organista pięknie grał.

We wsi pokątnie pędzono samogon z buraków, który był bardzo mocny, ale śmierdział „brahą”. Węgrzy to wywęcchali i zwolali wiejską naradę. „Wy macie samogon, a my zakąskę, urządzimy więc biesiadę”. Wyznaczono dzień picia i jedzenia. Od samego rana kucharze piekli boczek i różne mięsowa, a delegacja naszych chłopów w ilości 15-tu szykowała picie: dwa kanistry 70% samogonu. Wieczorem oficerowie i gospodarze zasiedli do wspólnego stołu, który nakryto obrusem i zastawiono miskami i talerzami z mięsem, ogórkami kiszonymi, kapustą, chlebem razowym i kapuśniakiem wojskowym. Zaczęła się uczta, która trwała około 1 godziny. Jak wszyscy się dobrze najedli, zjawili się ordynansi i pozostałe na stołach jedzenie uprzętnęli. Przyniesiono kubki, szklanki i papierosy „Levanty” oraz bardzo mocne cygara ze słomką. Było tego sporo. Zaczęło się picie, ale nasi chłopcy bez zakąski ani rusz, a Węgrzy piją i naszych do picia namawiają. Nie było innej rady, jak za plecami wzywano pomocy: „Maryś daj kawałeczek chleba zagryźć”.

Po kilku miesiącach oddział ze wsi zabrano, a w zastępstwie przybył batalion z „Arbeitsamt-u” węgierskich Żydów do kopania okopów przed spodziewanym natarciem Armii Czerwonej. Batalion ten pozostał do faktycznego natarcia i wyzwolenia przez Armię Czerwoną.

Wkroczenie (drugie) Czerwonej Armii 1944r. (Front rosyjsko-niemiecki)

Po wycofaniu się Niemców i oddziałów węgierskich na zachód, we wsi nastąpił okres wyczekiwania oraz obrony przed bandami ukraińskimi. Za frontem ponownie wkroczyli do wsi komisarze i funkcjonariusze NKWD. Szukali ukrywających się urzędników z powiatu i gminy, będących na usługach Niemiec. Wyszukiwali również członków organizacji AK (niektórych aresztowano i wysłano na Sybir). Na wiejskich zebraniach komisarze głosili patriotyczne pogadanki na temat organizacji I Armii W.P. w Rosji. Następnie wyznaczono pobór do II Armii W.P. poprzez „Wojenkamat” w Ottyni. Patriotyzm wśród młodzieży wiejskiej był wielki. W lipcu 1944 roku zgłaszali się jako ochotnicy w Ottyni, do rejestracji. Brano od 19 do 60 lat. Wymarsz nastąpił w sierpniu 1944r.

Moje osobiste przeżycia.

Ktoś, kto oglądał radziecki film „Lecą żurawie” ten wie, że jest tam scena wymarszu „bojców” na front przy wojskowej orkiestrze. W Ottyni zebrano około 1500 ochotników z różnych stron, narodowości polskiej. Uformowano kolumnę na drodze Kołomyja - Stanisławów. Na przdzie i na końcu kolumny szło po dwóch żołnierzy radzieckich z pepeszami. Orkiestra grała marsz. Ten sam, co w filmie „Lecą żurawie”. Kiedy oglądałem ten film nie mogłem powstrzymać łez. Widziałem mojego ojca jak brzegiem drogi odprowadzał mnie na front przez kilkanaście kilometrów. Do rana kolumna domaszerowała do Stanisławowa, do koszar 48 pp. Pozwolono nam odpocząć jeden dzień i przespać się w koszarach na gołej posadzce (można było wytrzymać, było ciepło). Nadmieniam, że przez cały okres marszu w kierunku Rzeszowa tj. około 8 dni nie mieliśmy żadnej kuchni, ani zaprowiantowania. Każdy coś wziął na drogę z domu (chleb, słoninę, ser). Warzywa i owoce były po drodze w ukraińskich wsiach. Wsie te były wyludnione, gdyż mieszkańcy uciekali do lasu krzyżąc „*Polaczki idut - ciła chmara*”. Z tego powodu we wsiach można było znaleźć owoce, warzywa, jajka, kury. Na postojach gotowaliśmy zupy w wiadrach, na jednym postoju zagotowywano warzywa, a na drugim kończono. A było i tak, że niektórzy nie mogąc się doczekać ugotowania tej zupy, uderzali wiadrem o przydrożne drzewo i szukali „suchego prowiantu”. Pod Rzeszowem na błoniach zatrzymano kolumnę (chyba jeszcze nie mieli konkretnych zaleceń, dokąd nas dostarczyć). Przez cały tydzień leżeliśmy i opalaliśmy się, bez jedzenia przy pięknej pogodzie. Na czterech rogach placu postoju siedzieli rusczy żołnierze z automatami. Nie bardzo dbali o to, czy z kolumny ubywa im ochotników.

Z kolegą Michałem Jaśnikowskim, Janem Kołtem i M. Głąbą przez cały tydzień młóciliśmy zboże cepami u chłopów we wsi, bo dawał nam za to jedzenie i mogliśmy spać w stodole. Nie było widać żadnych planów co do dalszego wymarszu. A nasza armia z błoni zaczęła top-

nieć i razem z nią topniał nasz patriotyzm.

Ponieważ miałem zaświadczenie z Rejonu Ottynii, że jestem ich pracownikiem („Zootechnik Ottyniyskowo Rejonu” z sowieckimi pieczęciami), zaryzykowaliśmy z Michałem Jaśnikowskim powrót do wsi. Po wymienionych przejściach (organizacyjnych) nasz dotychczasowy zaopatrzenie bohaterstwa w armii polskiej nieco się zmienił i ostudził. Pociągi z zachodu w kierunku Kołomyi jechały do Rosji z „szabrem” z różnych fabryk niemieckich. Takim towarowym pociągiem dojechaliśmy nocą do stacji Chryplin koło Tyśmienicy. Do Tarnowicy było już tylko 18 km. Nad ranem rodziny witały swych „bohaterów” wojennych. „We wsi urzędowali N.K.W.D.”, którzy wyszukiwali mężczyzn ukrywających się przed pójściem do wojska oraz tych co z wojska uciekli. Przy tym nadmienię, że po naszej ucieczce spod Rzeszowa połowa chłopców zrobiła to samo i chowali się po strychach we wsi przed N.K.W.D. Na wiejskich zebraniach komisarze głosili: „Kto ukrywa się przed pójściem do wojska lub uciekł z wojska będzie sądzony za dezercję, a ich rodziny będą wywiezione na Sybir”. Nie zastanawiałem się długo i z Michałem Jaśnikowskim spakowaliśmy plecaki i udaliśmy się pociągiem do RUK w Rzeszowie. Tutaj zostaliśmy zarejestrowani i trzymeni w zakładach cukrowniczych (czasowe koszary). Przez okres tygodnia grupowano chłopców napływających z różnych stron. Przyjechała komisja (oficerowie ruscy i polscy) i zaczęła się segregacja: do szkoły oficerskiej, artylerii, saperów, piechoty, łączności itp. Z kolegą przydzielono nas do artylerii. Ubrania przywieziono z Lublina. Były to trzewiki o gumowych podszewkach i spodnie „rajtki” do owijaczy, kawałek płótna na onuce, drelichowa marynarka bez podszewki, czapka z orzełkiem zwana „kuryca”, płaszcz popielaty, woreczek („sumka”) zamiast plecaka, saperka, gaz-maski, menażka oraz drewniana łyżka malowana w kwiatki i lakierowana, którą wkładało się za owijacz z boku łydki.

Handel (1939-1945)

W opisach dotychczasowych o życiu w Tarnowicy ujęto prawie całość zagadnień, za wyjątkiem handlu, a w szczególności w okresie okupacji sowieckiej i niemieckiej 1939-1944r. Do roku 1939 poszczególne sklepy na wsi zaopatrywały się w towar indywidualnie w mieście Tłumacz (powiat). Przy zakupie towarów mieszanych w sklepach i małych hurtowniach żydowskich dostarczano ze wsi do miasta jajka (2,5 groszy za sztukę). Zboże rolnicy dowozili na sprzedaż do Tłumacza lub Ottyni. Cena była regulowana wg „humoru” lub „widzimisie” Żyda. Niekiedy to samo zboże było wożone po kilka razy do wymienionych miast.

Targi na konie, bydło, drób, świnię, były w tych miastach we wtorki i środy każdego tygodnia. Także w okresie okupacji odbywały się targi za wyjątkiem zboża, bydła i świń, które „szły na kontyngenty”. Brak było różnego rodzaju towarów pierwszej potrzeby. Towar był ukryty w małych hurtowniach w miasteczkach. Do najbardziej potrzebnych należały takie towary jak cukier, sól, nafta, mydło, skóry na buty oraz tkaniny: cajt, drelich i sztruks na

spodnie. Zakup za ruble lub marki nie był popularny. W owym czasie wszystko można było dostać za mięso, tłuszcz (masło), drób. Ponadto trzeba było mieć „układy” znajomości, spryt i odwagę w załatwianiu tych spraw.

Podczas okupacji sowieckiej prowadzone były małe hurtownie towarowe (kooperatywy), ale tam różnie było z towarami i tego co było najpotrzebniejsze, zazwyczaj brakowało. Dla przykładu, aby kupić szpulkę nici do szycia za 10 kopiejek trzeba było dodatkowo kupić 1 kg chałwy lub galaretki owocowej. I znowu musiał być ktoś cwany we wsi, by załatwić i regulować takie sprawy na szczeblu powiatu. Potrzebna była głowa handlowa we wsi. Do tych spraw nadawało się we wsi wyłącznie dwóch gospodarzy, którymi byli Jan Gacek i Ludwik Kołt. Mieszkali oni po sąsiedzku, obaj mieli głowy handlowców no i na owe czasy musieli być odważni, bo za to groził obóz.

Dostarczenie do wsi brakujących towarów zaczynało się molestowaniem Jana Gacka przez baby: „*Jaśku załatwilbyś*” (brakujący towar)! Ten 40-latek wówczas, unosił się ambicją: „*Może się coś uda*”? Kupowano 3 sztuki trzody, (w tym jedna kolczykowana, którą oddawano jako kontyngent), otrzymując w zamian zaświadczenie zezwalające na ubój jednej sztuki dla siebie. Zamiast jednej bito dwie, no i już było z czym zaczynać wymianę (handel). Było to jednak ryzykowne i potrzebna była do załatwienia tych spraw odwaga.

Podczas okupacji niemieckiej wieś zmuszona była do uprawy tytoniu gatunków: „Machorka”, „Virginia”, „Kentucky”. Jesienią po oddaniu kontyngentu do fabryki tytoniu w Monasterzyskach, większą część tytoniu rolnicy ukrywali dla siebie (w stodołach, na strychach, w stogach itp.).

Nasi bohaterowie od handlu nawiązywali kontakt z Huculami z Jaremca, Delatyna, Nadwórnej i Białkowa. Całą zimę trwała wymiana. Nadmienić należy, że w owym czasie tytoń odpowiadał wartości w handlu mięsom i tłuszczom. Za tytoń otrzymywano skóry baranie, naftę, dziegieć (smar do uprzęży i juchtowych butów), sukno owcze i marki (pieniądze).

Kontyngent (obowiązkowe dostawy) bydła, trzody chlewnej i zboża.

Nakładano go na każdego rolnika według ilości pola. W wyjątkowych wypadkach była powoływana komisja. Tak się szczęśliwie złożyło, że ww. komisja tak lawirowała w przepisach, że nikt we wsi nie ucierpiał w okresie okupacji. Były też zabawne incydenty z członkami komisji. Przewodniczącym komisji był S. Gmeter (Dymitr). Przed budynkiem gminy nieraz tłoczyli się interesanci, prosząc o zmianę terminu lub zmniejszenia ilości dostaw wołając: „*Gmeter, załatw!*”, „*Gmeter, zmień stawkę!*” itp., a Gmeter stojąc na ganku mówił: „*Słuchaj Gmeter jak Cię błaga lud!*”.

Do ciekawszych zdarzeń należy zaliczyć budowę lotniska „Aerodrom” w Królewcu pod Kołomyją w 1941r. Z naszej wsi było wytypowanych około 40 furmanek konnych do prac przy tejże budowie. Zakwaterowano nas w stodołach u Huculów w Królewcu na okres dwóch tygo-

dni. Otrzymaliśmy list do codziennej adnotacji ilości zwiezonego żwiru z rzeki Prut na budowę.

Nie doczekaliśmy końca budowy. Niedziela była wolna od zwożenia żwiru. Rozkoszowaliśmy się spaniem na świeżym powietrzu przy szumie Prutu. Nagle stodoła podskoczyła. Była to eskadra bombowców, bombardujących „Aerodrom”. Był to dzień 22 czerwca 1941 roku - napaść Niemców na ZSRR. Uciekaliśmy do Tarnowicy przez całą noc (w dzień były naloty). Droga Stanisławów - Kołomyja - Śniatyń była zatłoczona ruskimi czołgami i innym sprzętem wojskowym. Wszyscy Rosjanie uciekali do Rosji.

Ukrywanie ludzi przez Tarnowiczian w okresie okupacji.

- U Józefa Kołta ukrywał się ksiądz Puzyna - starszek ok. 80-ciu lat. Kawaler, który przed wojną przebywał przeważnie w Austrii. Był on alpinistą, zapalonym myśliwym. Wyjechał z Tarnowicy na zachód. Zmarł u sióstr Urszulanek we Wrocławiu.

- Jan Kwas ukrywał rodzinę dyrektora Zjednoczenia PKP Stanisławów - Bolembacha (chyba Żydzi).

- Michał Jaśnikowski (Marucha) ukrywał rodzinę posterunkowego z Tłumacza. Mariana Dominika, który wyjechał z nami na zachód do Ziębic i tam pracował jako agronom.

- Jan Gacek oprócz nauczycielki ukrywał brata nauczyciela Sowy - Zygmunta Sowińskiego.

- U Ludwika Kruk (żony Michała Bona) ukrywał się policjant granatowy ze Stanisławowa.

- U Błażeja Kołta ukrywał się z całą rodziną - inżynier górnik ze Zjednoczenia Katowice.

- U Sebastiana Rybaczki ukrywała się Bogusława Wojda, córka nauczycieli wywiezionych na Sybir.

- Kierownik szkoły przechowywał porucznika WP-Konopkę.

Ciekawostką może być fakt, że w okresie ukrywania się ww., po wsi kręcili się radzieccy komisarze, niemiecka policja oraz ukraińska milicja, a jednak nikt nie odważył się zadencjonować. Wsie czuła się odpowiedzialna w całości - jeden za drugiego.

Mój udział w samoobronie - „ISTRIBITIELNYJ BATALION” Romuald Gacek

Jedynym i zasadniczym motywem powstania na początku 1944 roku Istribitielnych Batalionów, tzn. Samoobrony, jak również ochotniczego wstępowania w ich szeregi mieszkańców, zdolnych do obrony, były wiadomości o dokonanych przez bandy UPA mordach na ludności polskiej. W zaistniałej sytuacji zagrożeń od strony band, występowało wśród ludności polskiej wielkie pragnienie legalnego posiadania broni palnej, dające możliwość obrony własnej rodziny oraz niesienia pomocy sąsiadom, a także udziału w zorganizowanym przeciwdziałaniu mordom, rabunkom i rzeziom dokonywanym przez bandy UPA. Możliwość tą dawały Istribitielnyje Bataliony, które mogły powstawać za zgodą Rosjan, gdyż chodziło im o zaprowadzenie ładu na swoim zapleczu frontowym. Jednak oddział ten musiał być podporządkowany „Rejonowojeńkomatowi” w Tłumaczu. Ja wstąpiłem do Samoobrony po fakcie zamordowania przez banderowców mojego szkolnego kolegi, Mieczysława Krawczyka, którego zabili gdy powracał do domu ze szkoły w Stanisławowie. Dowódcą Batalionu do którego należałem, był „Kola”. Nazwiska Koli nie pamiętam. We wsi były wystawiane całonocne warty. Wyposażeni byliśmy w różnego rodzaju broń automatyczną. Posiadaliśmy też działko przeciwlotnicze. Operacje bojowe Batalionu organizowane były z reguły w przeciągu jednej godziny i zawsze w trybie alarmowym. Na akcje szedłem uzbrojony w karabin i granaty. W pamięci mam pierwszą akcję, w której brałem udział. Była to akcja na Czarnołożce. Wyszliśmy nocą z Tarnowicy i szliśmy wąwozem. Dochodząc do wsi Czarnołożce odkryliśmy banderowskie bunkry. Niestety psy ujadające we wsi zasygnalizowały nasze podejście i pozwoliły banderowcom z nich uciec. Z akcji tej pamiętam Saldacza, Kruka, Kołta, Jęczmiennego. Bandy ukraińskie wiedziały, że wieś chroniona jest przez Samoobronę, dlatego też nie zdecydowały się na bezpośrednie ataki na nią, aż do czasu naszej ewakuacji na Ziemię Odzyskane. Pomędzy naszą wsią a sąsiednimi wsiami, otaczającymi Tarnowicę, w których mieszkali Ukraińcy, nie było na szczęście rażących zatargów.

Okres wojenny 1939 - 1945

Zapomnieni i zdesperowani

Stanisław Fudali

Nasz stały korespondent Stanisław Fudali zamieścił swoje wspomnienia z pobytu na zesłaniu w ZSRR w książce przygotowanej do druku p.t. „Osiemdziesiąt miesięcy w kleszczach sierpa i młota”

Na prośbę redakcji zrobił z tej książki wyciągi - streszczenia do publikacji w naszym kwartalniku ZT.

Jego przeżycia z pracy w kolchozie, stepie, relacje z mieszkańcami, nastroje zesłanych, opisy straszego głodu są bliskie wielu naszym Tłumaczanom.

Z bardzo obszernego tego materiału będziemy drukować fragmenty jego wspomnień

Redakcja

Rozwiązanie Międzynarodówki Komunistycznej

W połowie trzeciej dekady maja 1943 roku, dotarła do nas wiadomość o rozwiązaniu Międzynarodówki Komunistycznej, czyli Kominternu. W gazecie wyraźnie wypisano powody, dla których tak się stało i jakie to znaczenie ma dla wszystkich ludzi na świecie i dla zwycięstwa ZSRR. Najważniejszy w podjęciu tej uchwały był, rzecz oczywista, sam generalissimus towarzysz Stalin. W tej-że gazecie, lub następnej, opublikowano dekret Stalina przywracający w umundurowaniu naramianniki, czyli pagony, i gwiazdki oraz belki jako oznakowania stopni wojskowych; dotychczasowe czerwone trójkątki, romby czy kwadraciki u kołnierza bluzy wojskowej czyli gimnastiorki, wskazujące na takie stopnie, stały się przeszłością - chodziło o możliwość łatwiejszego kontaktowania się żołnierzy Armii Czerwonej z aliantami.

Nie miałem wówczas najmniejszego pojęcia o Międzynarodówce, tym bardziej komunistycznej. Wiedziałem tylko, oczywiście podświadomie, że była to jakaś część tej bezwzględnej maszyny, która naszym wojskom - krwawiącym w walce z Niemcami we wrześniu 1939 roku - zadała cios w plecy, zajęła połowę naszej ojczyzny, zrabowała Gaj, uwięziła mojego Ojca i nas wyrwała z naszego domu, pozbawiła wszystkiego i skazała na zagładę w stepie kazachskim. Nie umiałem i nawet nie próbowałem ocenić, czy z naszego zesańczego punktu widzenia rozwiązanie tej Międzynarodówki jest dobre czy złe; nie umiałem w swojej 13-letniej łepetynie dostrzec, jaką ulgę dla nas ono niesie.

Starsi wiekiem członkowie kolchozu »Drużnyje Wschody« komunikat o rozwiązaniu Kominternu odczytali zupełnie inaczej. Zebrani w kantorze, po skomentowaniu artykułu wywnioskowali, że rozwiązanie Kominternu oznacza rozwiązanie kolchozów, zakładanych tam siłą w latach 1930-1931. Stąd konkluzja: zabieramy z kolchozu to co nasze - i wszyscy gremialnie poszli do kolchozowych stajen, a tam każdy zaczął "swojej" krowie sznurek na rogi bądź "swojemu" koniowi zakładał uzdę na pysk - i prowadził do swojej zagrody; "swoje" - to znaczyło przed laty "dobrowolnie" pod przymusem oddane kolchozowi. "Swoich" pługów, maszyn, wozów czy innego inwentarza w ten wieczór nie rewindykowano; na razie, ale każdy odzyskania "swego" był pewny. Ktoś jednak we wsi zasiał wątpliwość co do takiej interpretacji dekretu Stalina i dlatego nazajutrz nie prowadzono żadnych akcji rewindykacyjnych, ale w pole do roboty nikt nie ruszył - licho wie, jak z tymi kolchozami będzie?!; wieś żyła w niepewnym oczekiwaniu. Późnym popołudniem przyjechał z rejonu jakiś dygnitarz, zarządził zebranie wszystkich kolchoźników i wyraźnie wytłumaczył, że rozwiązana została Międzynarodówka Komunistyczna, a nie kolchozy. Wyraźnie przestrzegł, że do jutra rana cały inwentarz kolchozowy ma być na swoim miejscu, a wszyscy kolchoźnicy na kolchozowych polach. I tak się stało. Wieczorem każdy chyłkiem odprowadzał z powrotem „swoją” krowę lub „swojego” konia, wczoraj „odzyskaną”; porządek musiał być. Niezrozumienie dekretu o rozwiązaniu Kominternu kończyło się w Pieszczance jednodniowym „zawieszeniem” działalności kolchozu, a potem już

wszystko powróciło do poprzedniej normy.

Znowu Armia Polska w ZSRR - a ja nadal głodny

Około połowy czerwca doszły nas wieści, że 9.VI.1943 roku, powstał w ZSRR Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele, i że w Sielcach nad Oką powstaje nowa Armia Polska, która ramię w ramię z Armią Czerwoną, walcząc z Niemcami pójdzie najkrótszą drogą do Polski. Wieść ta poruszyła nas, pogrążonych w bezmiarze beznadziejności po odebraniu udostawierzeń i wręczeniu paszportów radzieckich, z ważnością na 5 lat, czyli do roku 1948; zrodziła jakieś słabe nadzieje wyrwania się z zauralskich przestrzeni, mimo iż nikt tego nie deklarował. Nadzieje te były bardziej niż umiarkowane - półtora roku temu, gdy w Buzuluku tworzyła się Armia Polska, gdy byliśmy pełni nadziei, a wyszło zupełnie inaczej; skąd pewność, iż tym razem nie będzie podobnie? W połowie 1943 roku nie umieliśmy już żyć nadziejami, a żyć było coraz trudniej. Ale jednak coś się działo: na początku lipca 1943 roku p. Kubiak został - przez radziecki Wojenkomat - powołany do 1. Dywizji im. T. Kościuszki, powstającej nad Oką pod dowództwem pułkownika Zygmunta Berlinga.

W połowie pierwszej dekady lipca, gdy stopa moja zagoiła się na tyle, że mogłem na nią stąpać, poszedłem znowu do pracy w kolchozie - do plewienia; dawali tam bołtuszkę trzy razy dziennie, która była rarytasem w porównaniu do nie osolonej lebiody, jaką przez prawie dwa miesiące żywiłem się wyłącznie. Zagojone już rany w stopie obwiązywałem szmatą, aby przypadkowo ich nie zranić, bo chodziliśmy do pracy boso, obuwia nie mieliśmy.

Po tygodniu plewienie się skończyło i chwilowo, przez ponad tydzień pracy w polu nie było; nie było też jedzenia. Wypadło nam, teraz z Mamą, żywić się lebiodą ikonotopem. W kolchozie praca była, ale przy sianokosach daleko w stepie, około 15 km od Pieszczanki. Milek tam pracował pełniąc funkcję wynieś-przynieś-pozamiataj. Głównie to przywoził beczkowitzem wodę z najbliższego jeziora, a z pobliskiego lasu chrust pod kocioł i jeździł do wioski po produkty do kotła na 2-3 dni i po prywatne jedzenie przekazywane z domu dla pracujących w stepie ludzi. Produkty do kotła pobierał w kolchozowym magazynie, a potem jadąc wioskową ulicą zbierał zawiąnięcia z jedzeniem dla pracujących przy sianokosach.

W tym czasie, mając lebiody wyżej uszu, zabrałem się z Milkiem w step w nadziei, że coś podobnego jak on będę tam robić. Ale łatwej roboty dla mnie nie było - mogłem jedynie przewracać pokosy przesuszanej trawy albo z wałów zgrabionego siana układać kopki, bo do zwożenia siana i składania w sterty nie nadawałem się: do narzucania siana na wóz byłem za słaby, a układać na wozie nie umiałem; do wzięcia pod pieczę kosiarki brakło mi technicznego obznajomienia. Pochodziłem więc po stepie, przypatrzyłem się robocie i nie nabrałem odwagi, by się jej podjąć; byłem słaby - z powodu choroby i z powodu niedojadania. Dzięki Milkowym układom zjadłem miskę bołtuszeki, a gdy słońce przestało palić, pokuśtykałem w stronę Pieszczanki; dotarłem tam przed wieczorem i nazajutrz pokornie poszedłem zbierać lebiody w cudzych ogrodach.

Przez tydzień musieliśmy żyć lebiodą. Parę razy, pokuśtykałem do lasu po grzyby, bo już się pokazały, dla jakiegoś urozmaicenia menu. Pewnego razu, gdy szedłem brzegiem do lasu za jeziorem, spod nóg mi wyleciała młoda dzika kaczka i przeleciawszy kilka metrów w stronę stepu, opadła w trawę. Fakt ten pobudził we mnie jakiś instynkt łowiecki: pokuśtykałem za nią, a ona znów pofrunęła i opadła, przeleciawszy mniej niż poprzednio. I tak jeszcze parę razy, ale w końcu, za którymś tam razem, sam już zmęczony, dopadłem kaczkę i ukręciłem jej głowę; na pewno była słabowita z jakiegoś powodu, a ja okazałem się wytrzymałszy. Mieliśmy tego dnia z Mamą prawdziwą ucztę - kacza zupa z grzybami! Co prawda, najeść się tym było trudno - bo kaczka przeraźliwie chuda i mała, ale jadło było urozmaicone.

Przy końcu lipca rozpoczęły się żniwa, więc ochocho poszliśmy z Mamą do roboty w pole; Mama cały czas czuwała nade mną, a gdy mi brakło sił, wykonywała pracę za siebie i za mnie. Zbieraliśmy na polu porzucane przez kosiarkę niezwiązane snopy i układali w kopki. Chodziło wtedy nie tyle o zarobek, co o bołuszkę serwowaną codziennie 3 razy, i o to surowe ziarno, wytarte ukradkiem z kłosów i wepchane do kieszeni. Męczyła mnie nie tylko praca, ale i dbałość o ostrożne stawianie niezupełnie wygojonej stopy, bo - mimo ochraniającej szmaty - na ścierniku wcale nie rzadko urażałem delikatną bliznę.

Kandydat na bohatera

Właśnie na przedwiośniu 1944 roku, gdy nieustanne łaknienie nie dawało mi spokoju, bo przypadającej na mnie kartoflo-bohuszki było mi stanowczo za mało, zdecydowałem się napisać gdzieś do Moskwy podanie o przyjęcie mnie do Armii Polskiej, jaka już w październiku 1943 przeszła chrzest bojowy pod Lenino, a teraz walczyła gdzieś na niedawnych jeszcze naszych Kresach Wschodnich. Motywem tego nie było gorące umiłowanie ojczyzny i pragnienie usuwania niemieckiego okupanta z naszych polskich ziem, jak najprawdopodobniej napisałem, ale beznadziejność dalszego wegetowania na kazachskich stepach, z coraz wyraźniejszą perspektywą głodowego finału tej egzystencji. Ubrdałem sobie wtedy, i dobrze to pamiętam, że motywem wysłania podania o przyjęcie do

wojska w charakterze ochotnika była determinacja: - Mam tu zdychać z głodu, to mogę na froncie zginąć od kuli, ale tam jeść dostanę - a kula wcale nie musi mnie trafić! - Nie wiedziałem wówczas, iż z jedzeniem na froncie radzieckim też nie było najlepiej. Bądź co bądź do Armii Polskiej w ZSRR, powstałej pod patronatem ZPP, chciałem wstąpić na ochotnika z niezbyt wysokich i szlachetnych pobudek; takie było życie i tak je wtedy usiłowałem przykrocić do swojego Losu.

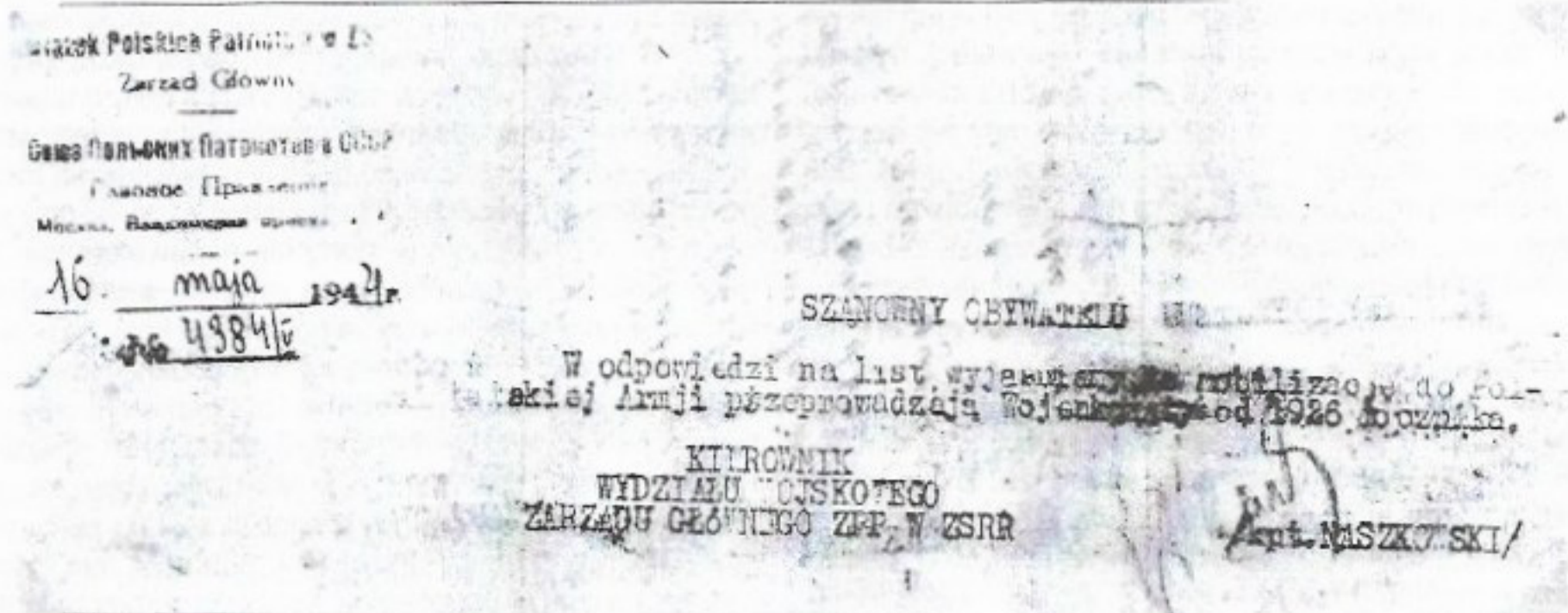
Oczywiście, wiązałem z tym nie tylko nadzieję przestać być głodnym, ale i jakiejś pomocy rodzinie. Wiedziałem, że rodziny niektórych żołnierzy Armii gen. Andersa wyjechały wraz z armią do Persji, a więc z Raju Radzieckiego. Rozumując po analogii (naiwnej, bo dziecinnej!) spodziewałem się, że gdy będę w Wojsku Polskim, Mama z Jaśkiem podąży moim śladem - najpierw na Ukrainę, a potem do Polski; przebąkiwano już wtedy, że rodziny żołnierzy Armii im. Kościuszki wkrótce wyjadą na Ukrainę - a stamtąd było bliżej do Polski.

Niestety, odpowiedź z Wydziału Wojskowego Zarządu Głównego ZPP w ZSRR, którą dostałem 28 maja, nie była ona dla mnie pomyślna. Podpisujący ją kierownik tego wydziału, kapitan Marian Naszkowski, wyraźnie napisał:

„SZANOWNY OBYWATELU W odpowiedzi na list wyjaśniamy, że mobilizację do Polskiej Armii przeprowadzają Wojenkomaty od 1926 rocznika.!!

A ja byłem rocznikiem 1929 - i nie miałem żadnych szans. Musiałem pogodzić się z Losem i nadal pracować w kolchozie, a to łagodziło moje pragnienie wstąpienia do Wojska - w kolchozie dawali jeść, co prawda nie do syta, ale więcej niż w domu było do zjedzenia.

Jednozdaniową odpowiedź kapitana Naszkowskiego na mój "poryw patriotyczny" włożyłem między różne szpargały tak, że przyjechała do Polski. Chelpiłem się nią w gronie kolegów, że oto w wieku 15 lat zamierzałem zostać bohaterem, tylko mi tego nie umożliwiono; oczywiście, zawsze w takich wypadkach, dla jasności i właściwego rozumienia, dodawałem motywację swojego wówczas postępuku: - O zdychaniu z głodu, ... tak jak wyżej. Nie dano mi jednak zostać bohaterem! I dobrze mi tak - nigdy tego nie żalowałem.



c.d.n.

Tłumacz „Po zapomnianych ścieżkach” cz. III

Tłumacka Cukrownia 1839 - 1876 / 77

Szkice o Tłumaczu autorstwa Michała Budzaka
(Wyd. Tłumacz RWK „Złahoda” 2001)

Przeł. z ukraińskiego Jan Johnson.

Założona przez hr. Henryka Dzieduszyckiego w 1839 r. cukrownia w Tłumaczu zaliczała się do największych w Europie. Cieszyła się sławą i rozgłosem przyćmiewając inne przedsiębiorstwa cukrownicze w kraju i zagranicą.

Dzisiaj nie ma śladu po tej imponującej - jak na owe czasy - budowli. Ocalała jakimś cudem stara rycina przedstawiająca konstrukcję głównego budynku cukrowni. W dawnej prasie zachowały się doniesienia o jej otwarciu, a w Historycznym Archiwum m. Lwowa znajdują się dokumenty świadczące o spisku polskich cukrowników w Tłumaczu (w pierwszej połowie XIX w.)

Jak to się zaczęło

Do dnia dzisiejszego specjaliści nie znajdują uzasadnienia dlaczego Henryk Dzieduszycki mając szerokie możliwości, nie wybudował cukrowni w pobliżu Halicza, na Tamopolszczyźnie w pobliżu szlaku kolejowego, czy spławnej rzeki, aby tanim kosztem dostarczać cukier na rynki krajowe czy zagraniczne, mając możliwość zużycia dużych ilości wody, której wymagała produkcja. Natomiast po uzyskaniu zezwolenia zaczął budowę cukrowni w Tłumaczu, kiedy w tym czasie (pocz. XIX w.) nie było tu ani kolei, ani wielkich ujęć wodnych za wyjątkiem rzeczek Tłumaczyk, Ruda i Susiec, a zwykle gruntowe drogi wymagały renowacji i utwardzenia. Dzieduszycki, który wraz z bratem Tadeuszem rządził Tłumaczem i okolicznymi wioskami: Gruszką, Nadorożną, Bortnikami i innymi jeszcze w 1807 r. poznał ludzi, którzy odznaczyli się pracowitością, znał ziemię zapewniającą wysokie plony, posiadał tu pięć bogatych folwarków, oraz obietnicę cennego taniego paliwa - torfu - w który obfitowały niedaleko miasta położone pokłady tego surowca na młakach (podmokłe łąki) - w pobliżu Gruszki.

Po kilku latach zostali zaproszeni do Tłumacza znani fachowcy inżynierowie austriaccy w sprawie budowy cukrowni. Po uzgodnieniu warunków z hr. Dzieduszyckim przystępują do projektowania cukrowni.

Do budowy przystąpiono w pierwszej połowie XIX w. (lata 20-te). Zatrudniono brygady budowniczych czeskich i niemieckich. Cegła za cegłą, metr za metrem wznoszono mury cukrowni z udziałem miejscowej ludności. Musieli oni podwozić na budowę cegły, piasek, przygotowywać rusztowania. Powyżej dzisiejszego „Domu Ludowego” (dawny Sokół) rośnie olbrzymia jak na tamte czasy dwupiętrowa budowla, a nad nią wznoszą się w niebo kominy i rury parowe.

Jednocześnie po wsioch, nawet leżących poza granicami władania hr. Dzieduszyckiego za obopólnym poro-

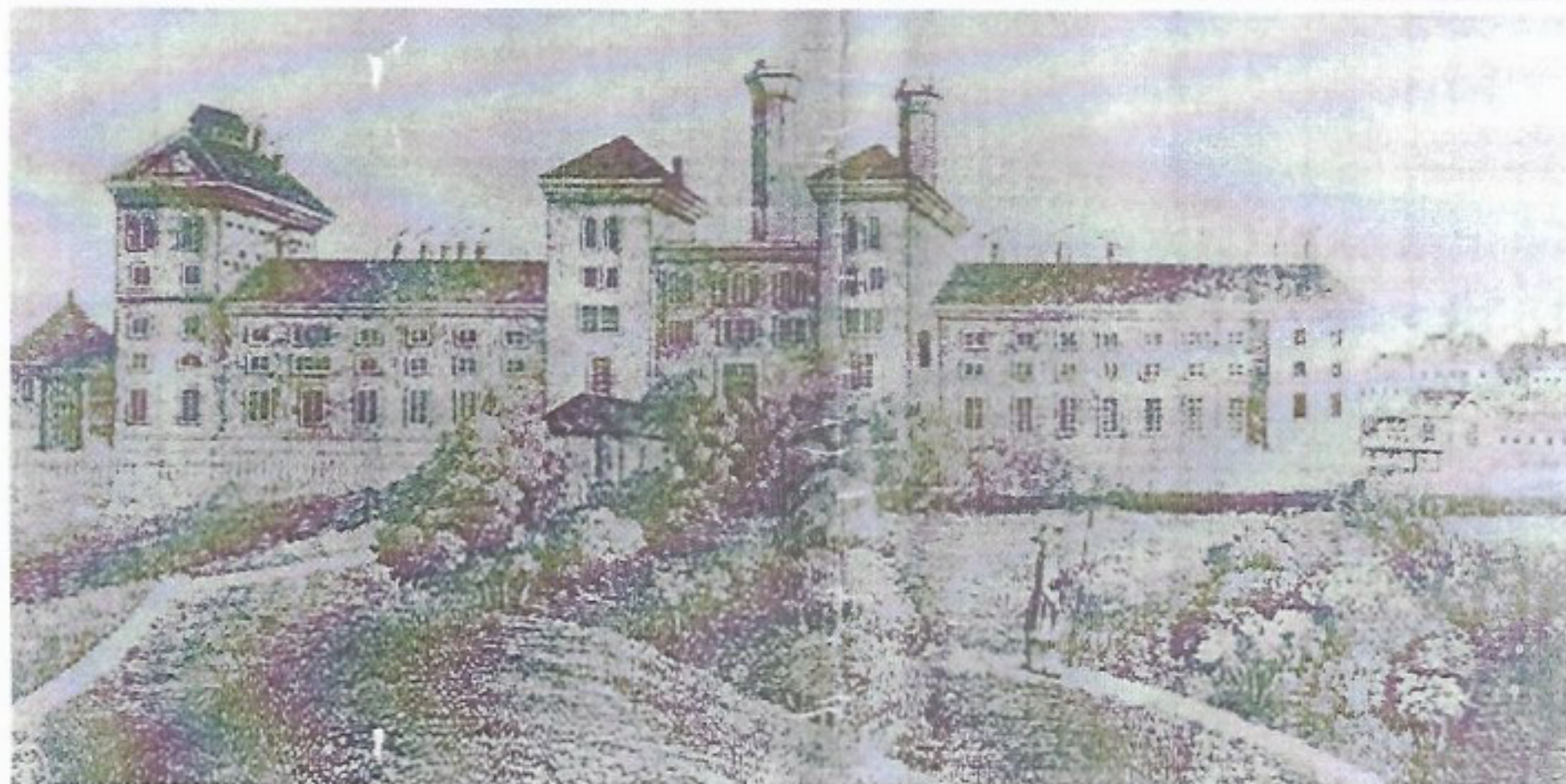
zumieniem sadzono cukrowe buraki, które po zbiorze dostarczano do cukrowni. Jedną za drugą wyrastają specjalne suszarnie w Tłumaczu, Dolinie i innych miejscowościach. Murarze wznoszą fundamenty gorzelni, oraz innych wielkich i małych zakładów, które mają dopomóc zamkniętemu cyklowi produkcji jaką zamierzono wprowadzić. (wg książki „Jubileusz 150-lecia polskiego przemysłu cukrowniczego”, który był obchodzony w 1976 r. w podtytule „Galicja”, przedstawiono zdjęcie cukrowni w Tłumaczu z 1848 r. z informacją: „...powstał w 1823 r. mały zakład przerabiający buraki na cukier w Puźnikach, wybudowany przez Teodora Mrozowickiego. Przykład zyskał licznych naśladowców i w 1839 r. było już w Galicji 10 cukrowni produkujących 203 tony cukru rocznie. W latach 1823 - 1869 powstało w Galicji i w niedługim czasie uległo likwidacji 21 cukrowni ... przyczyną załamania była polityka rządu austriackiego, hamowania wszelkich prób uprzemysłowienia Galicji i traktowania jej jako terenu eksploatacji i rynku zbytu”.

Zbudowanie dziesięciu takich zakładów pomocniczych nie było łatwe. Wymagało to wielkich nakładów pieniężnych, mnóstwo roboczej siły, więc nic dziwnego, że budowa zakładu w Tłumaczu ciągnęła się ponad dwadzieścia lat i została zakończona - jak odnotowano w liście do Galicyjskiego Gubernatorstwa w 1839 r. W rok później Henryk Dzieduszycki otrzymał z Lwowskiego Magistratu zezwolenie na uruchomienie zakładu i jednocześnie ukazały się w urzędowych publikacjach oficjalne ogłoszenia, że „ruszyła największa w Galicji - Tłumacka cukrownia”. Pierwsze „głowy” (z cukru) ważące do 5-ciu kg zostały wysłane do Wiednia.

Cukrownia posiadała dwa piętra, a długość wynosiła 62 sążni (t.j. ok. 111 mb) i dwie „baterie” po sześć cylindrów, które mogły przerobić w sezonie 800 cetnarów suchych buraków. Jak wynika z danych w latach 1840 - 1841 tłumacka cukrownia produkowała niewiele cukru ponad 20 ton na sezon. Przyczyną niskiej wydajności był pożar zakładu, którego straty oceniano na 50 tys. złotych, a odbudowa ciągnęła się ponad rok. Brakowało wody, nie było zgodności co do dostawy buraków z oddalonych folwarków. W związku z powyższym H. Dzieduszycki postanowił do cukrowni przekopać niewielki kanał z jeziora, którymi popłynęła potrzebna woda. Inżynierowie, co potwierdzają historycy w 1843 r. sprowadzili parową maszynę pierwszą w Galicji, co od razu wpłynęło na zdwojenie produkcji cukru, który zaczęto wozić nawet za granicę imperium austriackiego.

SPISEK¹⁾

Jeszcze cukrownia nie zdołała dokończyć wprowadzenia nowego technicznego procesu, który miał usprawnić produkcję i ulżyć robotnikom, gdy rozeszły się trwożne wieści: polscy cukrownicy nie zgadzają się na przedłużenie czasu pracy do 10 a nawet 12 godzin. Zbierają się po kątach i dyskutują między sobą o zaistniałych warunkach pracy. Stwierdzają, że rząd austriacki wydaje nie



Cukrownia w Tłumaczu (rys z 1848 r.)

usprawiedliwione prawa, niedopłaca robotnikom za wykonane prace zarabiając na tym. Padają wnioski: trzeba wyzwolić się spod władzy austriackiej i przystąpić do odbudowy Polski. Dochodzą następne wieści, że z pomocą tłumackim cukrownikom przyjechali znani warszawscy rewolucjoniści E. Dembowski i E. Gosmer, którzy przygotowują ich do mających nastąpić wydarzeń, a urzędników Ludwika i Franciszka Jeliscewiczów, Felsztyna i innych przygotowują do walki zbrojnej. O sytuacji w Tłumaczu powiadamia tajny agent dyrekcję lwowskiej policji - „sprawia wrażenie beczki z prochem podłożonej pod imperium austriackie, która może łatwo wybuchnąć”. Stanisławowska policja szybciej zareagowała na donos. Stosując zdecydowane działania żandarmi zebrali listę buntowników i 10 lutego 1846 r. w nocy przeprowadzili rewizję wszystkich budynków w których mieszkali podejrzani cukrownicy. Aresztowano blisko 20 ludzi, w tym organizatorów spisku: Jelisewicza i Tomczyńskiego oraz tych u których żandarmi znaleźli zabronione książeczki, rękopisy, pieśni. Stanisławowskie starostwo następnego tygodnia powiadamia galicyjskiego gubernatora, że aresztowani zostali osądzeni i otrzymali różne wyroki w zależności od zaangażowania. Niespodziewane aresztowania nie wystraszyły tłumaczan. Starosta Lorenz zawiadamia galicyjskie gubernatorstwo: „że na zakładzie znowu powstały nastroje rewolucyjne, robotnicy podburzani domagają się zwolnienia spod nadzoru swoich towarzyszy... i zmiierzają do przewrotu z jasno wytyczonymi planami”. Najbardziej zaangażowanymi ludźmi w tej sprawie są według doniesienia Lorenza, urzędnicy cukrowni: Żagórski i Turzański, którzy „buntują ludzi nie tylko ustnie ale i rozpowszechnianiem ulotek”. W skutek tych doniesień do Tłumacza przyjeżdża ze Lwowa okręgowy komisarz policji Neuho-user (Nejhouser). Po zapoznaniu się i rozpatrzeniu sprawy „politycznego spisku” wydaje nakaz aresztowania czterech „podżegaczy”, a jednocześnie „w celu utrzymania porządku w mieście” zarządza wysłanie oddziału wojskowego do Tłumacza pod kierownictwo urzędnika starostwa - Plewińskiego. Żołnierze śledzili cukrowników w zakła-

dzie, na ulicy, a nawet gdy wieczorami w oknach błyskał kaganek, wkraczali do mieszkań i przeprowadzali rewizję.

Ta decyzja okazała się skuteczna. Zmalała ilość zgromadzeń i „przypadkowych spotkań”, a życie w mieście przebiegało cicho i spokojnie. Aby wieści o stosowanym nacisku nie nabrały rozgłosu, Neihouser zmuszony został do wycofania wojska ze Stanisławowa, a hr. Teodozja Dzieduszycka zwróciła się z prośbą do Galicyjskiego Gubernatora: „o zwolnienie tłumackich cukrowników Jelisewicza, Turzańskiego, oraz pozostałych robotników, niechaj wracają do domów i rzetelną pracą odkupią swe winy”. Po powrocie do Tłumacza aresztowani odzyskali wolność, lecz swego postępowania nie zmienili. Jak poprzednio gromadzą wokół siebie tłumaczan i agitują. Starostwo stanisławowskie zostaje powtórnie powiadomione przez swego tajnego agenta: „chcą rwać pęta i domagać się wolności”.

W krótkim czasie w mieście zostaje zorganizowany oddział powstańczy, który wraz z oddziałami z Koropca i Monasterzysk przygotowuje się do wyzwolenia Stanisławowa. Austriackie dowództwo wojskowe powiadomione o zaistniałej sytuacji, organizuje i rozsyła swych agentów, aby śledzili poczynania powstańców, a o zachodzących zmianach natychmiast powiadamiali dowództwo...

Rozdmuchana iskra wolności przez tłumackich cukrowników była jedną z wielu, z której powstał wielki płomień rewolucji organizujący państwa Europy w latach 1848 - 1849 zwany Wiosną Ludów. W tych latach wyzwolenieńskich zmaganiach, większość tłumackich cukrowników było przepelnionych patriotyzmem i wysokimi ideami Tadeusza Kościuszki - o czym przekonują archiwalne dokumenty późniejszych lat.

SPOTKANIE Z HISTORIĄ TŁUMACKIEJ CUKROWNI (w oparciu o zebrane materiały przez P. Saszewicza)

Uczestnikom spisku nie stawiano pomników. nie

wspominano o olbrzymim wysiłku podjętym w utrzymaniu produkcji, a bez trzeciej części specjalistów w cukrowni często następują przestoje. Brakuje średniego dozoru, maszyn i urządzeń. Przygotowana do wysyłki w świat, produkcja zalega magazyny. Brakuje pieniędzy na bieżące remonty urządzeń. Aby poprawić sytuację zakładu, unowocześnić linie technologiczne, hr. Dzeduszycki zwraca się z propozycją dzierżawy cukrowni na kilka lat do wiedeńskiego bankiera Wertheimsteina i w 1849 r. sprzedaje zakład za 124 tys. złotych.

W początkach lat 50-tych powstaje Akcyjne Towarzystwo Cukrownicze, które przejąwszy zakład modernizuje i unowocześnia cukrownię.

Jak wynika z znalezionych materiałów w Lwowskim Archiwum Historycznym - akcjonariusze zakupili i zamontowali osiem kotłów o mocy 500KM, młyn, trzy potężne zbiorniki na melasę, zwiększono ilość suszarek do dwudziestu a do sześciu ferm z bydłem. Aby zabezpieczyć regularną dostawę paliwa nie zważając na bogate pokłady torfu w Mielnikach - które rzeczywiście z czasem zostały wyczerpane - nowi przedsiębiorcy zagospodarowują pokłady węgla znajdujące się w pobliżu Żabłotowa w powiecie śniatyńskim leżącym poniżej rzeczki Tłumaczyk. Do gruszeckich pól ciągną wąsko-torową kolejkę, którą zwożą bogate urodzaje buraków do późnej zimy. Sam zakład przechodzi również odnowę. Linia technologiczna jest zmodernizowana, wymienia się części maszyn, zakłada wodociągi. Na początku lat sześćdziesiątych tłumacka cukrownia zalicza się do jednych z najpotężniejszych w Europie. Spodziewając się większych dochodów z dostawy buraków cukrowych rolnicy zwiększają prawie podwójnie areal pod ich uprawę. Wzrasta również dostawa buraków z sąsiednich powiatów z tamopolszczyzny. Jak podaje Gazeta Lwowska w swoim tygodniowym dodatku z 55 tysięcy ton buraków produkcyjnych w połowie XIX w. w Galicji - dwie trzecie tonażu przerobiono w cukrowni Tłumackiego Akcyjnego Towarzystwa. Pro-

dukcja wzrosła do 1,8 tys ton rocznie - najwyższa w Europie. Małe powiatowe miasteczko staje się centrum przemysłu cukrowniczego austriackiego imperium.

W latach 1864 - 1876 w Tłumaczu zbiegają się drogi największych bankierów i przemysłowców z różnych państw. Nie ma się co dziwić. Przedsiębiorstwo, które dysponuje sumą 2,5 mln złotych rocznego obrotu ma czym imponować. Wraz z unowocześnianiem zakładu akcjonariusze nie zapominają o mieście. Asygnują pieniądze na budowę nitki kolejowej z Oleszowa do Tłumacza, pojawiają się pierwsze chodniki dla pieszych. Przy cukrowni zostaje zorganizowana nieduża pracownia dla malarzy, rzeźbiarzy, którzy zajmują się upiększaniem i ozdobą różnych rzeczy użytkowych. Około 10 osób korzysta z pracowni, którą utrzymuje i opłaca zakład. Jak wieść głosi z tej pracowni wyszedł znany rzeźbiarz tłumacki Mychajło Bryński. Cukrownia przez 5 lat opłacała jego naukę w Czechosłowacji. Przy zakładzie uruchomiono dwie kuźnie i stolarnię. Były również dalsze plany rozbudowy, ale nie sądzono było ich spełnienia. W ciągu 30-tu lat unowocześniane, remontowane, przerabiane urządzenia stały się przestarzałymi. Zakład potrzebował wprowadzenia nowych urządzeń i kolejnej rekonstrukcji jak i technologii. Akcjonariusze woleli jednak zrezygnować z inwestycji niż ryzykować utratę dotąd osiągniętych zysków. Większość z nich sprzedawała swoje akcje i pożegnawszy się z Tłumaczem wyjechała szukać dla siebie pewniejszych i wygodniejszych inwestycji, w które warto by było zainwestować kapitał.

W latach 1876 - 1877 cukrownia nie wytrzymuje konkurencji z nowoczesnymi świeżo powstałymi zakładami cukrowniczymi w Europie produkujących taniej i jakościowo lepiej i Tłumacka cukrownia zostaje zamknięta.

1) Mało znane są dotychczas dzieje spisku pracowników cukrowni - udział ich w „Wiosnie Ludów” - które odnotowano w książce o Tłumaczu M. Budzaka

Z życia Tłumaczan

List z Kołobrzegu

Od szeregu lat mieszkańcy i sympatycy dawnego kresowego miasteczka Tłumacz, leżącego na Pokuciu (obecnie Ukraina Zachodnia) spotykają się w czerwcu na tradycyjnych zjazdach w Kołobrzegu. Tworzymy jedną wielką rodzinę i spotykamy się po to, żeby sobą nacieszyć się, podtrzymać na duchu, pomóc w razie potrzeby i wspomnieć dawne nasze dzieje, ludzi wypędzonych z ziemi rodzinnej. Chcemy przekazać jak wielką miłością i sentymentem darzymy ten mały skrawek ziemi należący niegdyś do naszej ojczyzny i będący naszym gniazdem rodzinnym. Tam najpiękniej kwitły kwiaty, cudownie pachniały róże, bzy i jaśminy a oszałamiający zapach czeremchy do dziś pozostał w mej pamięci. Z różnych stron Polski, kto żyw; kto mógł, podążał na zjazd Tłumaczan do Kołobrzegu, gdzie powitała nas piękna słoneczna pogoda, świeża wiosenna zielen i łagodny szum morskich

fal docierający do naszego ośrodka.

Tym razem było nas tylko 25 osób. Miłym gościem była Jadzia Burczyńska-Chruszczyk urodzona w Tłumaczu, obecnie mieszkająca w Toronto. Jadzia tak bardzo zatęskniła za nami, za Polską, że koniecznie postanowiła uczestniczyć w naszym zjeździe.

W zamieszkiwanym przez nas ośrodku wypoczynkowym przy ul. Arciszewskiego zaszło wiele korzystnych zmian. Powycinane zostały zarośla i chaszczce, przez co więcej słońca pada na domki, ogrzewa je, likwidując wilgoć.

Dobrze nam było ze sobą, czas upływał szybko. Były wspólne poczęstunki tłumackie „rajkanie”, wspomnianie zabawnych i ciekawych przeżyć, pogaduszki o dzieciach, wnukach i o dawnych mieszkańcach Tłumacza, którzy odeszli na zawsze. Wspominane były poprzednie zjazdy huczne, gwarne i wesole, kiedy byliśmy młodszy, skorzy do śmiechów, żartów i różnych figli, a nade wszystko pięknych śpiewów, którym towarzyszyła harmonia Nuśka

Johnsona. Nasze śpiewy podziwiane były w tej okolicy Kołobrzegu.

6 czerwca Ania Bocheńska zgromadziła nas w jadalni, gdzie oglądaliśmy kasetę TV z podróży charytatywnej Danusi Tabińskiej z Telewizją Wrocław do Tłumacza, Stanisławowa i na Huculszczyznę. Nie jeden z nas popadł w zadumę, myśląc o smutnym i skomplikowanym losie, o okrutnej biedzie grupy Polaków uparcie pozostających na swojej dawnej rodzinnej ziemi. Rozmyślenia przerwaliśmy oglądając drugą kasetę na inny temat, a mianowicie - obchody 59 rocznicy bitwy pod Monte Cassino, którą uroczystie obchodziły dzieci ze Szkoły Podstawowej im. marszałka Józefa Piłsudskiego Nr 8 we Wrocławiu. Pięknie wyreżyserowane i przygotowane przez nauczycielkę w/w szkoły i Anię Bocheńską. Patriotyzm dzisiaj zanika, uważany jest za śmieszność, a nawet pewnego rodzaju obsesję, ale my wysłaliśmy go z mlekiem matek. Dla nas kresowiaków wychowanych w umiłowaniu Ojczyzny ziemia rodzinna i walka o wolność zawsze stanowiła świętość i rzecz bezcenną i tak będzie do kresu naszych dni.

7 czerwca w sobotę zebraliśmy się przy ognisku. Niepowtarzalna atmosfera serdeczności, przyjaźni, zbratania się towarzyszyła nam przez cały czas. Śpiewaliśmy dawne harcerskie piosenki, pieśni patriotyczne, oraz inne zabawne i wesołe. Bawiła nas i rozweselała nasza kochana „Estrada” - tak powszechnie nazywamy Irenkę Pelech - Ruszel - niezmordowaną w śpiewie, żartach i uciechach dykteryjkach. Zadziwiła nas swoją młodzieńczą energią, werwą i kreacjami niecodziennymi i oryginalnymi. Kochamy Cię Irenko - tańcz i śpiewaj nam jeszcze długie lata, tylko bardzo proszę nie przywóz ze sobą tyle bagaży - oszczędzaj siły.

Wracając do tematu pieśni śpiewanych przy ognisku, nie mogę się powstrzymać od przytoczenia fragmentu piosenki ułożonej i śpiewanej przez Jurka Czyżyckiego z muzyką Antoniego Nowosada: „Tłumackie wieczory”

*„Tłumaczu, kochane miasto, / jak bardzo Ciebie mi brak,
/ zostałeś po tamtej stronie / bo taki trójki był pakt. /
Wciąż wracają nam wspomnienia / z Kolinieckiej z nad
strumienia / Tłumaczyka, bo tak potok ten się zwał. /
Dziś już inny Tłumacz stary, / bez gimnazjum
i bez fary, / lecz na zawsze w mej pamięci będzie trwał”*

I powiedzcie sami drodzy Tłumaczanie mieszkający w Ojczyźnie i Wy wszyscy tak bliscy duchem i sercem, a jednocześnie tak dalecy rozrzućni gdzieś, po dalekim świecie, czy na dźwięk tych słów, kiedy będziecie czytać ów tekst dusza nie zaskowyczy żałością, jak szczenie oderwane brutalnie od piersi matki i wrzucone do głębokiej wody?

8 czerwca w niedzielę dojechali do nas: Janeczka Radomska z córką Jolantą, przemiłą i ładną dziewczyną, Irena Frank z d. Macek z koleżanką, Gieniusz Wysoczański z Krakowa, oraz Helcia Kłonowska, w głębokiej żałobie po mężu, którą na kilkugodzinne odwiedziny przywiozła córka z zięciem. Wszyscy bardzo ucieszyliśmy się ich przyjazdem - odżyły wspomnienia, ożywiły się rozmowy trwające do późnych godzin nocnych. Rozmowy pod gwiazdami w niecodziennej scenerii prowokowały do zwierzeń - każdy przed drugim mógł się wygadać, uzalić,

poradzić, pochwalić bez najmniejszej obawy, że zostanie wyśmiany lub niezrozumiany. Smutki i zmartwienia znikły, jakby na znak czarodziejskiej różdżki, a salwy śmiechu i gwaru dobiegały ze wsząd. O tak my umiemy cieszyć się sobą i życiem jakie nam jeszcze zostało, dopóki żyjemy będziemy się spotykać na dorocznych zjazdach i spędzać wspólnie czas.

Piękna słoneczna pogoda, lazurowe niebo nad głową, łagodny szum morskich fal, spacer po ciepłym piasku brzegiem morza - wszystko to miało wpływ na nasze wspaniałe samopoczucie - niestety każdy upływający dzień przypominał nam o zbliżającym się rozstaniu.

10 czerwca uczestniczyliśmy w uroczystej mszy Św., odprawionej w kołobrzesckim kościółku OO Franciszkanów, w intencji wszystkich Tłumaczan: tych okrutnie i bestialsko pomordowanych za to, że byli Polakami i tych którzy na frontach II Wojny Światowej bohatercko i dzielnie walczyli o wolność i za tych, którzy po wojnie odbudowywali Ojczyznę ze zgliszcz i ruin, budowali domy, fabryki, zakłady przemysłowe, szkoły, uczelnie i dokonali swego pracowitego żywota w czasie pokoju, w wyzwolonej Polsce oraz za pomyślność i prosząc o błogosławieństwo Boże dla żyjących Tłumaczan.

11 czerwca odbyło się zebranie ogólne Oddziału Tłumaczan, na którym sekretarz Zarządu Jurek Czyżycki zapoznał zebranych z pracami Zarządu w roku ubiegłym. Podczas dyskusji odezwały się głosy na temat treści „Zeszytów Tłumackich” - kwartalnik obniża loty - staje się monotony, mniej ciekawy aniżeli na początku swego istnienia, dlatego też upoważniam się wznowić apel: kochani - wszystko co przeżyliście i przeszliście godne jest wspomnień i pamięci. Dopóki drżąca ręka utrzyma pióro, a w pamięci trwają niezatarte upływem czasu zdarzenia, przelewajcie to na papier i przysyłajcie do redakcji „Zeszytów Tłumackich”. Posiadacie przecież dużą wiedzę o czasach i ludziach, którzy przeszli do historii. W wielu zdarzeniach to Wy byliście bezimiennymi bohaterami tamtych czasów, niecodziennych przygód, a czasami i zabawnych zdarzeń. Przekażcie to młodszej generacji - piszcie o tym! Proszę wziąć do serca tę prośbę, czas ucieka!!!

13 czerwca Stasia Hołyńska wraz z wnukiem Michaś zorganizowała wieczór pożegnalny przy ognisku. Oczywiście Michaś podpalił, drewno było wilgotne nie chciało się zająć, ale przy pomocy Stasi rozpalilo się. Płomienie ogniska strzelały wysoko w górę, apetyczny zapach pieczonych kiełbasek unosił się dookoła, słońce kończąc swą dzienną wędrówkę chowało się w morzu - zapadał zmrok. Ogarnęła nas chwila zadumy i dziwnej tęsknoty za czymś co nam niepostrzeżenie wymknęło się i uciekło bezpowrotnie - czyżby to była utracona młodość? A może to tylko mnie się tak zdawało? Powoli dogasało ognisko, umilkły śpiewy, żarty, dowcipy, wsłuchiwaaliśmy się w szum morskich fal, gdy naraz początkowo łagodnie i nieśmiało, a potem wzbierając mocą uderzył w niebo chór pięknych głosów pieśnią „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Śpiewały z nami stare szumiące drzewa, śpiewały fale morskie bijące o brzeg i nieśmiało wtórowały ptaszki obudzone ze snu.

14 czerwca w sobotę nastąpiło ogólne pakowanie walizek, toreb, kupowanie drobnych upominków, pożegnania się z morzem, a nasze wzajemne były czułe, wzru-

szające z łezką w oku i życzeniami spotkania się za rok.

Wszystkim najmilszym Tłumaczanom, a w szczególności tym chorym, którzy nie mogli się z nami spotkać zasyłamy tysiące serdeczności, wraz z wiązką łagodnych promieni słonecznych, zapachem świeżej zieleni i ożywczym powiewem bryzy morskiej.

Specjalne podziękowania należą się Jurkowi Czy-

życiemu za zorganizowanie Zjazdu. Jurek już od stycznia załatwiał formalności związane z naszym pobytom w Kołobrzegu. Osobne słowa podziękowania za gościnność i serdeczne przyjęcie kierujemy pod adresem Pana Marka Grabisza - kierownika Zaplecza Socjalno Bytowego WZRB w Gnieźnie.

Roma Lityńska-Króliczak

Patriotyczne Koncerty Młodzieżowe

18 maja 2003 r. w 59 rocznicę bitwy pod Monte Cassino odbyły się koncerty p.t. „Drogi do Polski” w kościele p.w. Św. Jacka na Politechnice Wrocławskiej i Klubie Oficerskim w wykonaniu uczniów Szkoły Podstawowej nr 8 im. J. Piłsudskiego we Wrocławiu.

W programie koncertów dzieci recytowały fragmenty patriotycznych wierszy między innymi M. Hemara,

*„Przyśniła mi się Polska
czekana przez tyle lat
Do której modlił się ojciec
Za którą umierał dziad”.*

Organizatorami byli: Związek Sybiraków, Dolnośląska Rodzina Katyńska, nauczycielka szkoły nr 8 Irena Żukowska-Siwiac oraz nasza tłumaczka Anna Panachida-Bocheńska.

Uroczystość uświetniała orkiestra Śląskiego Okręgu Wojskowego i liczne poczty sztandarowe

Koncerty te były hołdem dla tych którzy polegali, wyrazem wdzięczności dla tych którzy to piekło przeżyli, przekazem o dziejach oręża polskiego - najmłodszym spadkobiercom - dzieciom i młodzieży.

Redakcja.

Na podstawie informacji A. Bocheńskiej



Fot. A. Panachida-Bocheńska
Uczniowie SP nr 8 im. J. Piłsudskiego we Wrocławiu
„Artyści” recytujący wiersze w czasie w/w uroczystości

Lista ofiarodawców za II kw. 2003 r. (w zł)

1. Tadeusz Szmyd, Kraków 7,-
2. Kazimierz Barański, Gliwice 7,-
3. Mieczysław Kłonowski, Drezdenko 7,-
4. Tadeusz Kłonowski, Gdańsk 57,-
5. Władysław Hapoński, Lublin 107,-
6. Zdzisław Kłonowski, Gryfino 5,-
7. Anna Apanowicz, Kielce 57,-
8. Stanisław Bohosiewicz, Szczecin 7,-
9. Jan Majdański, Anglia 99,40
10. Urszula Tuziunkiewicz, Warszawa 25,-
11. Emilia Bilut, Rzeszów 7,-
12. dr. Michał Nikusiewicz, Warszawa 200,-
13. Anna Korczowska, Gliwice 57,-
14. Stanisław Mierzwiński, Gliwice 107,-
15. Anastazja Bogucka, Gdynia 50,-
16. Jadwiga Chruszczyk, Kanada 57,-
17. Irena Ruszel, Paszowice 7,-
18. Stanisława Hołyńska, Łódź 7,-
19. Romualda Króliczek, Ruda Śląska 10,-
20. Janina Pactwa, Gdańsk 30,-
21. Janina Gieba, Rawicz 7,-
22. Helena Kłonowska, Trzczińsko Zdrój 7,-
23. Jerzy Czyżycki, Wrocław 7,-
24. Władysław Mazur, Warszawa 22,-
25. Eugeniusz Wysoczański, Kraków 7,-
26. Edward Śniechowski, Anglia 95,-

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom

składamy serdeczne podziękowania !!!

Informacja

Dnia 27.07.2003 o godz. 12.00 odbędzie
się w Śiedlakowicach k/Sobótki
Msza Odpustowa Ku Czci Św. Anny
Patronki Tłumaczan

Odeszli

Z żalem zawiadamiamy, że 14.03.2003 r. zmarł nasz
szkolny Kolega

ś.p. Wincenty Kłonowski

urodzony w Tłumaczu w 1927 r.

Wyrazy głębokiego współczucia żonie Helence oraz
całej Rodzinie Zmarłego składają
Tłumaczanie

W dniu 16.06.2003 r. odbył się
w Obornikach Śląskich pogrzeb

ś.p. Mariana Adamczaka

Zmarły był mężem Marysi z domu Lanerówniej.
Wiernie uczestniczył z nią we wszystkich zjazdach
Tumaczan począwszy od 1966 r. w Kudowie-Słonem.
Łączymy się w bólu z naszą Koleżanką składając Jej
serdeczne wyrazy współczucia
Tłumaczanie

Spis treści

Okladka wewn. Zdjęcia: Sikorski, Anders, Tokarzewski-Karasiewicz - 62 rocznica powstania Armii Polskiej na Wschodzie	
59 rocznica bitwy o Monte Cassino - wyjątki z książki „Byłem żołnierzem gen. Andersa” - T. Czerkawski	1
Wspomnienia żołnierskie z ZSRR i Iraku 1941-1943 - książka „Dywizja Lwów”	4
„Tango armatnie” - T. Czerkawski	6
II. Tłumacz w okresie I Wojny Światowej	
Powrót (cd) - Franciszek Petrus	7
Dwór hrabiów Słoneckich w Zielonej - Mieczysław Zdanowicz	10
III. Kościoły Stanisławowskie cz. II - ks. Lesław Jerzowski	
IV. Z Tłumackiego Powiatu	
Okres wojenny w Tarnowicy Polnej - Mieczysław Głęba i Romuald Gacek	13
V Okres wojenny 1939 - 1945	
Zapomnieni i zdesperowani - Stanisław Fudali	16
VI. Tłumacz „Po zapomnianych ścieżkach” cz. III	
Tłumacka cukrownia 1839 - 1876 / 77 - Michał Budżak - tłum. J. Johnson	19
VI. Z życia Tłumaczan	
List z Kołobrzegu - Roma Lityńska-Króliczek	21
Patriotyczne Koncerty Młodzieżowe - Anna Panachida-Bocheńska	22
Lista ofiarodawców	22
Informacje	23
VII Odeszli	
Wspomnienie Pożegnalne - Danuta Tabińska-Juhasz	25

**Nasz Kwartalnik jest finansowany przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.
Za dotację serdecznie dziękujemy.**

Redaguje zespół w składzie:

Danuta Tabińska-Juhasz - redaktor naczelny, zastępca Elżbieta Niewolska
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta
Adres redakcji: TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-076 Wrocław,
ul. Rуска 32/33, Ip. tel. 071/344-88-93.
Konto Bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205242-128394253
Skład i druk: Drukarnia RAPID - Wrocław

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwaracamy natomiast przesyłane nam zdjęcia lub widokówki.
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów
oraz poprawek stylistyczno - językowych.

Uwaga ! Cena rocznej prenumeraty ZT wynosi 25 zł.

WSPOMNIENIE POŻEGNALNE

Danuta Tabińska-Juhasz



Mieczysław Zdanowicz emerytowany profesor wrocławskiej ASP. Wszechstronnie utalentowany. Zajmował się ceramiką, szkłem, witrażem, rzeźbiarstwem, medalierstwem, fotografią, kompozycjami przestrzennymi. Napisał o sobie: „*Wszystko co robiłem i robię nadal, starałem się realizować z pokorą i na najwyższym poziomie w poczuciu dużej odpowiedzialności za każde słowo i czyn*”.

Opis Jego dokonań artystycznych i naukowych nie zmieściłby się w całym naszym Żęszycie. Zainteresowanych odsyłam do obszernej biografii prof. M. Zdanowicza.

Najważniejsze daty:

- 9 X 1928 ur. w Jezierzanach pow. Tłumacz, Kresy Wschodnie
- 1956 studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych Wrocław
- 1954 pracownik dydaktyczny, kier. Prac. Malarstwa Architektury i Urbanistyki
- 1960-1963 współpraca z przemysłem w zakresie projektowania form
- 1963-1964 stypendium rządu włoskiego
- 1968-1971 współorgan i kier. galerii „Piwnica Świdnicka” Wrocław
- 1968 Biennale Małych Form Rzeźbiarskich we wrocławskim Ratuszu
- 1970 Sympozjum „Wrocław 70” nagroda m. Wrocławia złoty krzyż zasługi - zasłużony działacz kultury - nagroda Ministra Kultury
- 1973-1974 wykłady w Rietveld Acad. w Amsterdamie
Złote medale na wystawach: Praga 1962, Mediolan 1960, Rawenna 1975, Sopot 1978.

Znajomość nasza zaczęła się przed kilku laty, gdy Profesor hojnie wspomagał pracami ceramicznymi urzędową



przez Fundację Kresową „Semper Fidelis” aukcją dzieł sztuki na rzecz rodaków z Kresów.

Wtedy dowiedziałam się, że pochodzi On z Jezierzan i jest naszym krajanem. Rodzina Jego mieszkała w Tłumaczu i dobrze sobie to miasto przypomina i bardzo chętnie będzie pisywać do naszego kwartalnika. Obietnicę swoją realizował przysyłając do Zeszytów Tłumackich szereg ciekawych publikacji opisujących piękno przyrody Kresów oraz przekazy rodzinne z lat minionych.

Ograniczę się więc do moich osobistych wspomnień o Profesorze, do wielu godzin spędzonych w Jego gabinecie przepelnionym artystycznymi pracami, starymi przedmiotami, roślinnością, pięknymi albumami, książkami, zdjęciami gdzie początkowe wrażenie nieładu przedradzało się w niepowtarzalną atmosferę.

Zawsze podejmował swoich gości kawą w pięknej porcelanie. Nastawiał dyskretną muzykę ze śpiewem ptaków lub z cerkiewnymi pieśniami. Niejednokrotnie siedziałam w tym magicznym gabinecie jak zahipnotyzowana słuchając wspaniale snuty przez Profesora opowieści. O pięknie naszych stron, o wydarzeniach jakie miały tam miejsce w czasie obydwu wojen światowych. Okazuje się, że znał nawet moich dziadków mieszkających w oddalonym o 5 km Żywaczowie. W każdą niedzielę ks. Wróbel z Jezierzan, odprawiał tam sumę, a na obiad i na preferansę był zapraszany do domu Tabińskich, moich dziadków. Mały Mieczysław był w Jezierzanach ministrantem księdza Wróbla i jeździł z nim do Żywaczowa.

Profesora wszyscy lubili i podziwiali. Przebywać w Jego towarzystwie to była wielka przyjemność i zaszczyt.

Zamykam oczy i widzę tę dobroduszną, życzliwą dla otoczenia twarz, o jasno niebieskich oczach, w pół uśmiechu gdy wyrażał jakieś charakterystyczne cechy dla naszych stron. Jego duże poczucie humoru ubarwiała wszystko co opowiadał i opisywał, obojętnie czy dotyczyło to czasów obecnych, austriackich, sowieckich czy niemieckich. Zawsze prosiłam Go, żeby przelał na papier to co tak pięknie mówił (miał wyjątkowo ciekawy dar narracji). Zawsze mi obiecywał, że napewno to wszystko opiszę. Nie zdążył! Nagle odejście Profesora przerwało wiele rozpoczętych Jego prac. Przygotowywał w Arsenale wrocławskim wystawę fotograficzną na 60-lecie mordów Polaków przez OUN-UPA. Miała też być w lecie poświęcona kapliczka MB przez Niego zaprojektowana i wybudowana - taka jakie bywały u nas na Kresach.

Profesor był dumny, że pochodził spod strzechy, że chłonał tam piękno natury, jakie było udziałem „teatru Czarnohory” i „najdzikszej rzeki Dniestru”. Uważał, że wrażliwość Jego duszy została już tam ukształtowana. Trzeba znać te strony, żeby Go w pełni zrozumieć. Jego podziw dla przyrody, dla krajobrazu i śpiewu ptaków.

...Teraz tam w alei zasłużonych cmentarza Osobowickiego gdzie w dniu 14 II odprowadziły Go rzesze przyjaciół i wielbicieli Jego talentu, rosną drzewa i bujna roślinność, które może będą choć częściowo emitować założony przez Niego na gruzach przed Uczelnią piękny park przy ul. Traugutta, a może nawet przypomni Mu kresowy ukochany krajobraz.....



Kartkę z Kołobrzegu z serdecznymi pozdrowieniami dla wszystkich Tłumaczan, którzy nie mogli przyjechać na nasze spotkanie - przesyłają uczestnicy tegorocznego zjazdu.



Tłumaczenie na zjeździe w Kołobrzegu - czerwiec 2003 r. (część uczestników)

Stoją od lewej: Anna Panachida-Bocheńska, Bogumiła Hrapkowicz-Przybyło, Janina Białkowska-Pactwa, Anastazja Białkowska-Bogucka, Józef Duszyński, Roma Lityńska-Króliczek, Eugeniusz Wysoczański, Ryszard Macek, Jerzy Czyżycki.

Siedzą od lewej: Stanisława Piotrowicz-Hołyńska, Krystyna Bojczuk-Marciniak, Jadwiga Burczyńska-Chruszczyk.